MAZURSKIE WĘDRÓWKI STR. 11

MIŁOŚĆ i POLITYKA STR. 6

POCZĄTEK KOŃCA STR. 10

UŚCISK DŁONI NA ORBICIE STR. 2

ODGŁOSY

ROK XVIII NR 30 (920) 24 LIPCA 1975 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

Trwa wielka bitwa o chleb. Żniwa... Ten moment decyduje o wszystkim. Jest to wielki egzamin, który musimy zdać bezbłędnie. Tym bardziej że jest to również sprawdzian nowego modelu naszej nowej administracji terenowej i nowych władz. Pierwsze meldunki brzmią optymistycznie. Czy zainwestowany kapitał pracy również organizacyjnej będzie procentował należycie? Jak przebiegały przygotowania do tej największej kampanii, pisze Ryszard Binkowski na przykładzie nowego województwa sieradzkiego w reportażu zatytułowanym „Żniwa".

Tematem nr 1, który fascynował cały świat w ostatnim tygodniu był lot i spotkanie statków kosmicznych „Sojuz" i „Apollo". „Uścisk dłoni na orbicie", to tytuł artykułu Lucjusza Włodkowskiego omawiającego poszczególne fazy tego bezprecedensowego wyczynu w dziejach ludzkości.

Czytelników, których zainteresowały drukowane przez nas fragmenty książki Ericha von Dänikena — „Bogowie z kosmosu" możemy pocieszyć, iż książka ta ukaże się wkrótce w języku polskim, nakładem Wydawnictwa Literackiego w Krakowie. Jednocześnie czynimy starania, aby również w najbliższej przyszłości zacząć publikacje fragmentów innej, trzeciej już książki tego autora, zatytułowanej „Złoto bogów", zawierającej dalsze rewelacyjne dowody na poparcie jego hipotez.

Dla amatorów silniejszych wrażeń przygotowaliśmy opowiadanie Władysława Krakusa — „Żywiątka". Jest to tzw. literatura z dreszczykiem, o czym autor lojalnie ostrzega Czytelników już na samym wstępie, nie chcąc narażać na szwank ludzi z osłabionym systemem nerwowym. Również Konrad Turowski serwuje „Western na Teofilowie" — historię dwóch młodzieniaszków, którzy zabawili się w gangsterów.

REPORTAŻ

ANDRZEJ MAKOWIECKI

AUTOMATYCZNA SIELANKA TELEFONICZNA

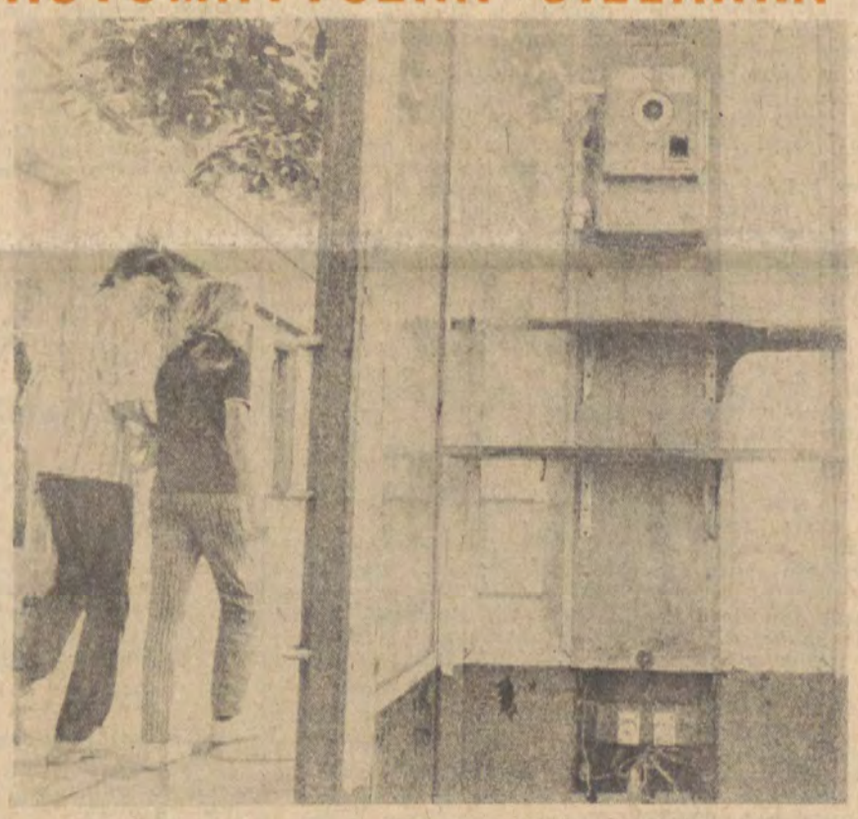

Nic tak nie rozgrzewa publicysty, jak krzywda osobista. Istnieje wprawdzie w naszej branży pogląd, że nie należy załatwiać w gazetach własnych interesów, ale zdarza się przecież, że sprawa własna jest jednocześnie sprawą społeczną i stronić od niej byłoby świństwem.

Zacznę więc bez żenady od momentu, kiedy to przed dwoma laty zmieniłem mieszkanie i wystąpiłem o przeniesienie telefonu. Podanie było odpowiednio poparte, toteż dostałem uprzejmą odpowiedź, że oczywiście... w pierwszej kolejności... jeśli tylko będą możliwości. I już koniec mojej sprawy! Nie mam zamiaru dodawać, że komu jak komu, ale mnie telefon naprawdę jest potrzebny, że jego brak (dwa lata) szkodzi nie tylko mnie, ale, w pierwszym rzędzie, łódzkiej i warszawskiej redakcji, które w nagłych wypadkach muszą szukać mnie telegraficznie, że cierpi na tym kilka innych instytucji (przez skromność nie wymienię), a także wielu ludzi, którzy z takich czy innych względów dzwonią do dziennikarza (nieraz o dwunastej w nocy) z prośbą o natychmiastowa interwencję. Nie wspomnę także o tajemniczych ra-

Dalszy ciąg na str. 5

PRACOWITE LATO

RYSZARD BINKOWSKI

ŻNIWA

Piszę te słowa trzeciego lipca. Jeśli utrzyma się słoneczna i ciepła pogoda, fachowcy przewidują, iż „duże" żniwa rozpoczną się w Sieradzkiem około 17 lipca.

Janusz Urbaniak, kierownik Wydziału Rolnego i Gopodarki Żywnościowej KW PZPR w Sieradzu mieszka w POSTiW, ale wczasów to on tu nie ma. Reforma administracyjna w toku, brak mieszkania, a roboty huk.

Województwo o charakterze rolniczo-przemysłowym. Czterdzieści trzy gminy wiejskie, dziewięć miast, 388 tys. ludności, z czego 53 proc. mieszka na wsi. Na 1 tys. mieszkańców tylko 83 pracuje w przemyśle.

Pierwsze żniwa w nowym województwie.

Mimo niekorzystnych warunków atmosferycznych w okresie zimy i wiosny, bez śniegu i opadów deszczu, tylko w niektórych rejonach województwa występują sporadycznie przerzedzone zboża ozime. Stan zbóż jarych dobry, rzepak lepszy niż w roku ubiegłym.

W kampanii żniwnej bieżącego roku do zbioru jest 160,5 tys. ha zbóż i 3.500 ha rzepaku. Będzie to poważny egzamin nie tylko dla pracujących bezpośrednio w polu, ale i dla nowych władz oraz urzędników odpowiedzialnych za sprawy rolnictwa. Zwłaszcza dla tych, którzy dotąd piastowali funkcje kierownicze na wąskim odcinku, a teraz mają szersze pole do popisu i zwiększoną odpowiedzialność. Trzeba będzie wyzbyć się pewnych nawyków.

Żniwa za pasem, a nowe władze wojewódzkie dopiero gruntują się, nabierają rozpędu i dopasowują możliwości do potrzeb.

— 1 czerwca zmieniono tablice — mowi Urbaniak — **a nazajutrz trzeba było już przymierzać się do żniw, bo sprawa chleba najważniejsza. Do 23 czerwca załatwiono wszystkie sprawy, mające kluczowe znaczenie w kampanii żniwnej, a więc handel, sprzęt, usługi, uprawnienia naczelników na czas żniw, skup, nawet sprawę poplonów. W tym czasie trwały jeszcze sianokosy, a to również problem niebagatelny.**

Urbaniak robi „odskocznię", pragnąc pokazać wybitnie rolniczy charakter województwa. Trzoda chlewna — 115 sztuk na 100 ha (112 w kraju), roczny skup żywca — 55 tys. ton. Zbóż skupują 71 tys. ton, ziemniaków 160 tys. ton. Przy okazji Urbaniak nadmienia, iż nowe władze z miejsca wzięły się za sprawę rozwoju przemysłu rolno-spożywczego. Jest nadmiar mleka, buraka cukrowego, ziemniaków, truskawek, które powinny być przerabiane na terenie województwa.

I słusznie. I pochwalić też się warto, lecz czas wrócić z tej „odskoczni" do żniw.

Jeśli idzie o sprzęt, to do żniw przygotowuje się 4.269 ciągników, 89 kombajnów, 1.685 snopowiązałek, 876 żniwiarek i 16.000 kosiarek. Mechanizatorzy jeżdżą w teren, sprawdzają, czy wszystko gra, a gdzie trzeba, tam popędzają. To nie powinno dziwić ponieważ wraz z reformą administracyjną organizuje się wiele nowych SKR, gdzie stan gotowości sprzętu wynosi 70—80%. W pozostałych kółkach rolniczych, PGR, SKR, POM prawie na sto procent.

Warto zwrócić uwagę na fakt, że w Sieradzkiem u rolników indywidualnych znajduje się 13 koni na

Dalszy ciąg na str 4

OBYCZAJE

KONRAD TUROWSKI

WESTERN na TEOFILOWIE

Był czwartkowy wieczór. Telewizja kończyła prezentowanie programu na dzień następny. Za chwilę, o godz. 20.20 miało się rozpocząć nadawanie kolejnego, piątego odcinka serialu sensacyjno-kryminalnego pt. „SOS", gdy mieszkańców Teofilowa zaniepokoiły odgłosy strzelaniny. Kanonada rozlegała się tuż pod oknami bloków. W ciemnościach rozróżniono dwie postacie wywijające długą bronią. Strzelali na oślep, gdzie popadło...

W mieszkaniach trwożnie gaszono światła. Obawiano się, że lada moment może zdarzyć się nieszczęście. Kto tylko miał pod ręką telefon, alarmował MO. Oficerowie dyżurni pobliskiego komisariatu oraz komendy dzielnicowej na Bałutach i Pogotowia Milicyjnego nie nadążali odbierać skarg mieszkańców Teofilowa, w najwyższym stopniu zaniepokojonych zagadkową strzelaniną...

Pani Z. akurat robiła przepierkę. Szum wody napuszczanej do wanny zagłuszał wszystko, co działo się wokół. Dwóch synów w wieku 9 i 11 lat zajętych było odrabianiem lekcji. Mąż miał wrócić dopiero po godz. 22. Pracował tego tygodnia na popołudniowej zmianie.

Właśnie nakładała kolejną porcję bielizny do pralki, gdy usłyszała głośny, narastający od parteru, tupot nóg. Pomyślała, że to pewnie dzieci biegają po klatce schodowej. Chciała je przywołać do porządku. Otworzyła drzwi mieszkania i natknęła się na... milicjanta. W prawej ręce trzymał pistolet. Obawiał się iść wyżej, gdzie już tylko jest właz na dach czteropiętrowego bloku.

— Proszę zamknąć drzwi — powiedział półgłosem, kryjąc się za pochyłością schodów...

Pani Z. pospiesznie spełniła polecenie, ale nie przestała się interesować wydarzeniami na klatce schodowej. Aż do momentu, gdy domem wstrząsnął huk eksplozji, a całe mieszkanie wypełnił dym i zapach prochu. Nie zdawała sobie sprawy, jak wiele ryzykuje...

Słyszała, że milicjant prosi:

— Chłopcy — mówił spokojnym głosem — **nie wygłupiajcie się, nie żartujcie, oddajcie broń, nie pogarszajcie swojej sytuacji, może być nieszczęście...**

Dalszy ciąg na str. 8

OD CZWARTKU DO CZWARTKU

GOSPODARSKA WIZYTA I SEKRETARZA — E. GIERKA W NASZYM MIESCIE

W przededniu lipcowego święta, 19 bm. miasto nasze odwiedził I sekretarz KC PZPR — **Edward Gierek.** W towarzystwie gospodarzy województwa miejskiego łódzkiego I sekretarza KŁ PZPR **Bolesława Koperskiego** i prezydenta m. Łodzi — **Jerzego Lorensa** oraz ministra przemysłu lekkiego — **Tadeusza Kunickiego,** I sekretarz KC PZPR udał się rano do ZPB im. Armii Ludowej, gdzie z okazji święta 22 Lipca oddana została do eksploatacji unikalna, doświadczalna przędzalnia „Wir".

Gorąco witany przez załogę, I sekretarz KC PZPR — **E. Gierek** zwiedził zarówno „Wir", jak i będącą w budowie nową tkalnię, interesując się żywo wszystkim, co składa się na proces przeobrażeń ZPB im. Armii Ludowej — jednej z najstarszych fabryk bawełniarskich w najnowocześniejszy zakład tej branży, o bogatym programie asortymentowym produkcji.

I sekretarz KC PZPR słowami najwyższego uznania ocenił „Wir" jako inwestycję pod każdym względem wyróżniającą się. Pneumatyczne bezwrzecionowe przędzarki są wybitnym osiągnięciem polskiej myśli technicznej, która narodziła się i została zrealizowana w Łodzi. Dzięki zaś ogromnemu zaangażowaniu wszystkich wykonawców, w rekordowym tempie, 14 miesięcy, rozpoczęły pracę w nowym obiekcie przemysłowym przędzarki „Wir". O ich zaletach świadczą dane: zdolność produkcyjna zainstalowanych w „Armii Ludowej" 10 przędzarek wynosi około 2 tys. ton przędzy rocznie. Ich wydajność jest 8-krotnie większa od wydajności obecnie znanych, nowoczesnych maszyn przędzalniczych, przy czym zajmują wraz z oddziałem przygotowawczym 2,5 raza mniejszą powierzchnię od przędzalni tradycyjnej.

Seryjną produkcję przędzarek pneumatycznych „Wir" podejmie „Wifama". Twórcami metody „Wir" są R. Jóźwicki i J. Pacholski z Instytutu Włókiennictwa i Centrum Naukowo-Badawczego Przemysłu Maszyn Włókienniczych.

Przebywając w Łodzi I sekretarz KC PZPR, Edward Gierek, złożył również wizytę w Zakładach Tekstylno-Konfekcyjnych **„Teofilów",** gdzie zapoznał się z aktualnymi problemami zakładu i najbliższymi planami przedsiębiorstwa. Z dużym zainteresowaniem dostojny gość obejrzał wystawę, na której zaprezentowano atrakcyjne wyroby „Teofilowa", będące jednocześnie propozycją na rynek jeszcze w ostatnim kwartale tego roku.

Meldunek na temat wykonania planu złożyli przedstawiciele „Teofilowa" na ręce I sekretarza KC PZPR. Dzięki temu zobowiązaniu, ogólna wartość zobowiązań podjętych przez załogę w roku VII Zjazdu partii wyniesie 136 mln zł. Warto jednocześnie dodać, że poprzednio podjęte zobowiązania zostały wykonane już w I półroczu w wysokości 105 mln zł.

W czasie wizyty w naszym mieście, Edward Gierek zapoznał się z interesującą i oryginalną architekturą Pomnika Czynu Rewolucyjnego, zwiedził osiedle mieszkaniowe Teofilów i poznał plany rozwoju ważnych arterii komunikacyjnych, przebiegających przez teren Łodzi. Odbyło się również spotkanie I sekretarza KC z Egzekutywą KŁ PZPR.

W czasie spotkania, E. Gierek zapoznał się z oceną realizacji zadań społeczno-gospodarczych I półrocza, a także z najważniejszymi zadaniami na II półrocze. Zabierając głos, I sekretarz KC wyraził swoje uznanie dla wysiłku klasy robotniczej i całego społeczeństwa Łodzi i regionu. Z satysfakcją stwierdził, iż unowocześnianie miasta i jego przemysłu, a także wielu dziedzin życia mieszkańców, odbywa się w szybkim tempie, a ogromne różnice i zmiany na lepsze widać z roku na rok. Edward Gierek zwrócił uwagę na konieczność dalszego utrzymywania wysokiego tempa rozwoju regionu dla prawidłowego wykonania wszystkich zadań społeczno-gospodarczych.

ODZNACZENIA DLA ZASŁUŻONYCH

W Radzie Narodowej Miasta Łodzi odbyła się w sobotę, 19 bm., uroczystość wręczenia zasłużonym łodzianom z okazji lipcowego Święta Odrodzenia wysokich odznaczeń państwowych i Honorowych Odznak Miasta Łodzi. Odznaczenia wręczali: sekretarz KŁ PZPR **K. Kwiatkowski** oraz wiceprezydenci miasta Łodzi — **J. Morawiec i L. Krowiranda.**

Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski otrzymał **Tadeusz Laszewski,** Krzyże Oficerskie Orderu Odrodzenia Polski — **Stefan Gulczyński, Tadeusz Jabłczyński, Andrzej Nadolski i Zenon Torzecki,** a Krzyże Kawalerskie **Karol Bukowski, Barbara Drzewińska, Zenon Majchrowicz, Roman Miller, Aleksander Pytke, Alfreda Sobińska, Zygmunt Szymański, Stanisław Terepeta, Jadwiga Hewelka-Grabowska, Aleksander Korosteński i Stanisław Madajski.**

10 mieszkańców naszego miasta wyróżniono Złotymi Krzyżami Zasługi, Srebrne Krzyże Zasługi otrzymało 15 osób, a Brązowe — 6.

Wręczono ponadto 9 Medali 30-lecia PRL i 23 Medale Za Zasługi dla Obronności Kraju.

W uznaniu szczególnych zasług dla rozwoju miasta wyróżniono 109 osób Honorowymi Odznakami Miasta Łodzi.

Ponadto Honorowe Odznaki Miasta Łodzi przyznano zespołowo 5 instytucjom: Miejskiemu Przedsiębiorstwu Robót Drogowych, Łódzkiemu Przedsiębiorstwu Robót Inżynieryjnych, Dziewiarskiej Spółdzielni Inwalidów „DINA", Fabryce Transformatorów „Ema-Elta" im. Bojowników Getta i XX Liceum Ogólnokształcącemu w Łodzi.

KOSMOS

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

UŚCISK DŁONI NA ORBICIE

Wszyscy zdecydowanie i jednoznacznie podkreślają historyczne znaczenie spektaklu, który rozegrał się na wysokości 225 km nad powierzchnią Ziemi. 17 lipca 1975 roku przejdzie na stałe do historii wypraw kosmicznych. Historię tę rozpoczyna data wystrzelenia przez Związek Radziecki pierwszego satelity Ziemi. Było to 4 października 1957 roku.

Następnym etapem był start człowieka w Kosmos. Było to 12 marca 1961 roku. Człowiekiem tym był Jurij Gagarin.

Trzecią historyczną datą w dziejach wypraw kosmicznych jest 21 lipca 1969 roku, kiedy to pierwszy człowiek Neil Armstrong postawił nogę na Księżycu.

17 lipca 1975 roku jest czwartą datą historyczną. Na czym polega wielkość tego wydarzenia?

1.

Padło już wiele lapidarnych określeń. Szymon Kobylinski, który w **„Studiu Sojuz — Apollo Telewizji Polskiej"** pełnił rolę ilustratora, powiedział w czasie jednej z rozmów przed kamerami TVP, że może to i paradoks, ale **tam, gdzie nie ma atmosfery, jest najlepsza atmosfera do współpracy i współistnienia.** Symboliczny gest, jaki dokonano na wysokości 225 km nad powierzchnią Ziemi, uścisk dłoni kosmonautów radzieckich i amerykańskich, ma ogromne znaczenie polityczne, a jednocześnie w sposób niezwykle plastyczny ilustruje komplikacje współczesnego świata.

Trzy lata trwały przygotowania do wspólnego lotu i połączenia statków kosmicznych dwu największych mocarstw świata. Tam, w Kosmosie, na oczach wielu milionów ludzi, obserwujących to kosmiczne spotkanie na ekranach swoich telewizorów, udowodniono, że współistnienie na naszej planecie jest możliwe i może ono prowadzić do współpracy. A przecież jest to współpraca mocartw o dwu różnych systemach politycznych i ustrojach społecznych. Aby jednakże doprowadzić do współpracy w Kosmosie, oba te mocarstwa zrezygnowały z wzajemnej nieufności i ujawniły sobie nawzajem wiele spraw, o których do tej pory nie mówiło się, a które mają przecież wiele wspólnego z obronnością.

Ludzie starszego pokolenia pamiętają czasy wzajemnej nieufności i wrogości. Jakżeż daleko od tamtych czasów odszedł świat. Jak wielki musiał dokonać się postęp techniki, aby właśnie poprzez najwyższe jej osiągnięcia można było zamanifestować wzajemne dążenie do współpracy — wyniku polityki pokojowego współistnienia.

Uścisk dłoni na orbicie nie znosi wszelkich sprzeczności, jakie istnieją we współczesnym świecie, nie likwiduje automatycznie konfliktów. Udowadnia jednak, że mimo nich współistnienie jest możliwe, owocne i prowadzi do ścisłej współpracy, a ta jest pożyteczna dla całego świata. Uścisk dłoni na orbicie pokazuje dobitnie całej cywilizowanej ludzkości możliwości współpracy i ma równie ważną wymowę jak deklaracje polityków. W Kosmosie spotkali się przedstawiciele dwóch wielkich narodów, którzy nim otworzyli właz łączący „Apollo" z „Sojuzem" dobrze się wzajemnie poznali, przełamali barierę językową, nauczycieli się wzajemnie szanować, a także przekonali się, że w pracy dla postępu na naszym świecie mogą wzajemnie na siebie liczyć.

2.

Były w tym historycznym wydarzeniu i momenty wzruszające. Najpierw był więc start z kosmodromu w Bajkonurze i były oklaski, które go powitały zarówno w Moskwie, jak i w Houston, a także w Waszyngtonie i w licznych studiach radiowych i telewizyjnych, które wydarzenie to transmitowały. Potem były takie same oklaski, gdy pomyślnie wystartowała rakieta „Saturn", wynosząca statek kosmiczny „Apollo" z Cap Canaveral. A potem były drobne awarie na obu statkach. Jednocześnie obie załogi poszły o 1,5 godziny później spać. Jednocześnie wstały. Niemal w tym samym czasie kosmonauci radzieccy naprawili kamerę telewizyjną, a kosmonauci amerykańscy usunęli awarię włazu do komory cumowniczej. Dzięki temu mogliśmy oglądać transmisje telewizyjne z Kosmosu i dzięki temu doszedł do skutku uścisk dłoni na orbicie.

Wzruszający był też moment otwarcia włazu między połączonymi pojazdami kosmicznymi i pierwsza wizyta kosmonautów amerykańskich w „Sojuzie". Wielce symboliczne było natomiast oświadczenie Leonida Breżniewa i rozmowa Geralda Forda z kosmonautami amerykańskimi i radzieckimi. W oświadczeniu i rozmowie potwierdzono bowiem pragnienie dalszego rozwijania współpracy w opanowaniu Kosmosu. Ale sens tych deklaracji ma szersze znaczenie. **To, co zostało zapoczątkowe na Ziemi, znalazło potwierdzenie w Kosmosie, to, co stało się w Kosmosie znajdzie dalsze potwierdzenie na Ziemi. Potwierdzenie i kontynuację.** A działo się to wszystko na oczach milionów widzów z całego świata i to też ma swoje znaczenie, bowiem międzynarodowa współpraca w Kosmosie przyczynia się do znacznego rozszerzenia współpracy na Ziemi. A jest to współpraca oparta na zasadzie partnerstwa, wzajemnego poszanowania i zaufania. **Znajdzie ona niewątpliwie odbicie i naśladownictwo w stosunkach politycznych, społecznych, naukowych, kulturalnych i technicznych między różnymi państwami naszej planety.**

3.

Wszyscy są zgodni, że 17 lipca 1975 roku stanowi historyczną datę w dziejach wypraw kosmicznych. Historyczność tej daty zawiera się nie tylko w tym, że tego dnia o godzinie 17.09 czasu warszawskiego „Apollo" przycumował do „Sojuza" i że w następstwie tego kosmonauci radzieccy gościli u siebie kosmonatów amerykańskich, a później Amerykanie gościli u siebie radzieckich partnerów. Jej historyczność zawiera się w tym, że na oczach milionów ludzi otworzyła się możliwość międzynarodowej współpracy w opanowaniu i poznaniu Kosmosu, a to — po prostu — oznacza dalszy niebywały postęp. **Oznacza możliwość stawiania sobie znacznie wyższych celów i szybsze ich osiąganie.**

Powstała możliwość zbudowania na orbicie międzynarodowej stacji badawczej, możliwość organizowania wspólnych lotów załogowych, a także ponowienie — wspólnej tym razem — wyprawy na Księżyc. W dalszej przyszłości również i na inne planety Układu Słonecznego. Powstała też możliwość wspólnego skonstruowania „wahadłowca" — rakiety, która mogłaby docierać do stacji orbitalnej i wracać na Ziemię, pełniąc rolę stałego połączenia na trasie Ziemia — Kosmos. Powstała też możliwość niesienia sobie wzajemnie pomocy w razie awarii w Kosmosie.

Tych możliwości jest znacznie więcej. Dziś sobie jeszcze nie wszystkie uświadamiamy, gdyż naszą największą troską jest sam rozwój współpracy. Zdajemy sobie jednak sprawę, że dalsza współpraca w Kosmosie będzie miała też ogromny wpływ na Ziemi. Już nie tylko polityczny, ale również techniczny, naukowy, technologiczny. Wspólne rozwiązywanie problemów z zakresu lotów kosmicznych, wielki wysiłek naukowców i techników przyczynią się do uwielokrotnienia postępu technicznego w różnych dziedzinach naszego życia. Dorobek instytutów naukowych: medycznych, technicznych, biologicznych, fizycznych i wielu innych znajduje odbicie w szybko postępującym rozwoju techniki i technologii w dziedzinach pozornie dalekich od spraw kosmicznych.

Trzeba sobie jednak zdawać sprawę, w którym jesteśmy miejscu. A jesteśmy u samego początku nowej drogi. Ledwie zaczął się nowy rozdział w dziejach wypraw kosmicznych. Do zrobienia jest prawie wszystko. Na komodromie w Bajkonurze stoi rakieta z „Sojuzem — 20". Będzie on użyty w realizacji radzieckiego programu kosmicznego, ale „Sojuz — 20" nie może na przykład połączyć się z krążącym po okołoziemskiej orbicie „Salutem — 4". Powód jest bardzo prozaiczny — urządzenie cumownicze przystosowane jest tylko do łączenia się ze statkiem „Apollo".

Trzeba więc doprowadzić do tego, aby wszystkie statki kosmiczne, jakie kiedykolwiek będą wznosiły się ponad Ziemią miały zunifikowane urządzenia cumownicze. Bez tego dalsza współpraca w Kosmosie nie przyniesie oczekiwanych rezultatów i bez tego niemożliwa będzie jakakolwiek pomoc na wypadek awarii. „Sojuz — 19" i Apollo" udowodnili, że łączenie się na orbicie jest operacją prostą, choć wymaga znakomitego przygotowania. Do tej pory statki kosmiczne łączyły się przede wszystkim ze stacjami orbitalnymi. Od 17 lipca 1975 roku możliwe jest łączenie się statków kosmicznych należących do różnych państw, ale posiadających takie same urządzenia cumownicze.

Ujednolicenia wymagać będzież też wiele innych spraw. Trudno przedstawić cały ich rejestr. Znają go dobrze specjaliści. Mamy prawo mieć nadzieję, że niczego nie zaniedbają. Wspólny lot „Sojuza" i „Apolla" dowiódł bowiem, że wszystkie bariery są do pokonania, jeśli ludzie chcą współpracować, jeśli zdają sobie sprawę, że ta współpraca, choć swój najwyższy wyraz znalazła w Kosmosie, służy przede wszystkim pokojowi ludzi na Ziemi.

TELEWIZJA

SPOSÓB NA LATO

Wymyślić sposób na lato nie jest rzeczą łatwą, zważywszy że niemal wszystko już było. Marek Madej z Łódzkiego Zespołu Telewizji Polskiej wjechał przed kamerę telewizyjną na motocyklu. Miało to być oryginalne wejście, ale nie było. W nowym cyklu telewizyjnym „Lato z pomysłem" propagował on pomysł łódzkich studentów, którzy wybrali się na motocyklach w podróż dookoła Europy. Pomysł jak pomysł, ani lepszy, ani gorszy. W każdym razie nieoryginalny. Młodzi podróżowali już po świecie rowerami, konno, pieszo. Na oryginalny pomysł wpadł natomiast 92-letni lekarz i inżynier z Bydgoszczy — Aleksander Melech, który ruszył w Europę... autostopem. W jego wieku — to pomysł oryginalny i dla wielu staruszków nie do powtórzenia.

Telewizja nasza ukochana nie ma niestety pomysłów na lato. Filmowa mieszanka, jaką ogląda się na ekranach od rana do późnej nocy, całkowicie spełnia wymagania gatunku, jest raz doskonała, raz nijaka, a innym razem zupełnie „denna". Telewizja powtarza filmy po trzy razy, bo co innego ma robić, skoro nie ma programów oryginalych. Dobrze tylko, że zrezygnowała już z zapewniania telewidzów, że czyni to na wyłączną ich prośbę.

Dał się ostatnio zauważyć brak pomysłów w „Mam pomysł", a i „Fakty, opinie, hipotezy" w wydaniu z 16 lipca 1975 roku nie grzeszyły pomysłowością. Wanda Konarzewska przynajmniej kilka tygodni wcześniej wykazała dobrą dziennikarską orientację. Jak już nie ma o czym, to zawsze pozostają żelazne tematy: Jeti, potwór z Loch Ness, fruwające spodki i zagadka Atlantydy. Wybrała to ostatnie i słusznie, gdyż spór o istnienie legendarnego lądu trwa już przeszło 2 tys. lat i ma tyluż wielce uczonych zwolenników co przeciwników. Na ekranie byli oni reprezentowani w stosunku chyba nierównym, gdyż przedstawicielem grona zwolenników Atlantydy był znakomity znawca przedmiotu, sam Ludwik Zajdler, natomiast pozostali skłaniali się raczej na stronę jego przeciwników, negując jakąkolwiek nadzieję na odnalezienie zaginionego lądu i wykazując nieprzepartą chęć włożenia całej tej historyjki między bajki. Dla tych, którzy cokolwiek orientują się w przedmiocie sporu nie było w audycji nic nowego, a Ludwik Zajdler zawiódł nas na całej linii.

Zawiódł nas też Wiesław Fijałkowski, który w zastępstwie Wandy Konarzewskiej poprowadził „Fakty, opinie, hipotezy" 16 lipca 1975 roku. Miała to być zagadka wędrówek Słowian, ale nie było tam żadnej zagadki. Ponieważ cykl nosi potrójny tytuł, można było audycje W. Fijałkowskiego zaliczyć do grupy „fakty". Takie zaliczenie wymagało jednak zmiany koncepcji. Jeśli już musiał to być wykład doc. Tadeusza Wasilewskiego, to można było pokusić się o obrazowe przedstawienie wędrówek Słowian. Z mapy Wiesław Fijałkowski skorzystał tylko wtedy, gdy prezentował tańce słowiańskie. W całej audycji widać było szwy i pośpieszną łataninę. W takiej sytuacji lepiej już dać dobry film, choćby nawet festiwal przygód „Bolka i Lolka". Obejrzą to i starzy i młodzi i nasza kochana dziatwa.

Dobry pomysł miała natomiast Telewizja Polska ze „Studiem Sojuz — Apollo". Wykorzystano całą możliwą i dostępną technikę, dano dobrą obsadę. Audycje szły w miarę sprawnie, co było głównie zasługą samego „spektaklu", gdzie wszystko musiało być zgrane do sekundy, albo i bardziej dokładnie. Czasem coś nie wychodziło, ale to już była wina „aktorów" i „reżyserów" a nie warszawskiego studia, które dwoiło się i troiło, aby zadowolić widzów.

A przy okazji „leciało" takie mnóstwo informacji, że aż trudno było zapamiętać, ale były one podawane w sposób przystępny, ilustrowane przez znakomitego Szymona Kobylińskiego, który jak się okazuje zna się nie tylko na starej broni, malarstwie, starych strojach, dowcipach politycznych i innych, ale również na sprawach kosmicznych. Obsada telewizyjna, jak i grono specjalistów gwarantowały tej audycji milionową widownię, ale też i temat był fascynujący. Epokowe wydarzenia działy się na naszych oczach i za możliwość uczestniczenia w tym gigantycznym spektaklu należą się Telewizji Polskiej serdeczne podziękowania.

Nasz stały sprawozdawca telewizyjny nadal niespodziewanie urlopuje — dodajmy z przyczyn od niego niezależnych — tak więc ponownie musiał za niego wybrzydzać.

ZASTĘPCA

PROPOZYCJE MAŁEGO EKRANU

CZWARTEK, 24. VII. — PROGRAM I

17.00 RELAKS — najbardziej pożądany podczas wakacyjnego urlopu obejrzymy w cyklu **„Turystyka i wypoczynek".**

20.25 CZAPKA — ciekawy film kryminalny, związany z morderstwem monachijskiego taksówkarza.

PROGRAM II

17.25 Kino Letnie wyświetli węgierski dramat psychologiczny pt. Dr HALACZ, w reżyserii Miklosa Hajduty.

18.10 PASJE LUDZI MORZA — reportaż filmowy Wiesława Stradomskiego, o artystycznych zamiłowaniach ludzi, bez reszty związanych z morzem.

PIĄTEK, 25. VII. — PROGRAM I

17.35 SEZAM.

20.20 CZŁOWIEK W PRZECHODNIM PODWÓRKU — kinomani obejrzą IV odcinek z radzieckiej serii kryminalnej.

SOBOTA, 26. VII. — PROGRAM I

18.00 ZA KIEROWNICĄ — magazyn motoryzacyjny z udziałem prezesa ZG PZM, mgr Romana Pijanowskiego.

20.20 ŚNIEGI KILIMANDŻARO — głośny film amerykański szerokoekranowy, melodramat, w reżyserii Henry King. Ekranizacja powieści Ernesta Hemingway'a

PROGRAM II

17.30 Kino Letnie zaprasza na węgierski dramat psychologiczno-obyczajowy pt. MOTYL. W liryczne opowiadanie wplecione są interesujące elementy folkloru i obyczaju węgierskiej wsi z lat przedwojennych.

NIEDZIELA, 27. VII. — PROGRAM I

10.50 JEŹDZIEC BEZ GŁOWY — filmowa adaptacja awanturniczo-przygodowej powieści Mayne Reida, miejscem akcji jest Teksas, czas — połowa XIX w. Jest to film radziecki, który reżyserował Władimir Wajnsztok. (kolor).

16.00 POJEDYNEK — II runda spotkania Krystyny Sienkiewicz i Grażyny Hase zapowiada wiele niespodzianek w tej wspólnej zabawie z publicznością.

20.30 Widownia śledząca **„Nowe przygody Vidocąa"** obejrzy, chyba z przyjemnością kolejny film pt. BANKIERZY I ZBRODNIARZE (kolor).

Program II rozpoczyna „Przegląd polskich filmów telewizyjnych", na który zaprasza kinomanów (dorosłych) od 16.45 do 23.40.

PONIEDZIAŁEK, 28. VII. — PROGRAM I

20.20 Teatr Telewizji z Wrocławia wznowi nie znaną komedię Ksawerego Godebskiego pt. MIŁOŚĆ I PROŻNOŚĆ w reżyserii Jana Bratkowskiego, z udziałem aktorów scen wrocławskich.

21.10 WĘGIERSKA KREW to oczywiście czardasz w węgierskiej muzyce ludowej i operetce. Dzieje czardasza przedstawią: Ryszard Tarasewicz, Agnieszka Kossakowska, Barbara Nieman i Mieczysław Wojnicki.

WTOREK, 29. VII. — PROGRAM I

20.25 **„Rancho w dolinie"** — w amerykańskiej serii o rodzinie Barcleyów obejrzymy film pt. KLATKA DLA ORŁÓW.

21.15 **„Ekran i życie"** — MOTYLE. Kiedy i jak się przeżywa pierwszą miłość? Jak odnoszą się do tych przeżyć dziecka rodzice? — Te i inne pytania padną w dyskusji, po wyświetleniu filmu Janusza Nasfetera. Program poprowadzi Stefan Treugutt.

21.30 Teatr Sensacji przypomni współczesną komedię kryminalną Jeana Cosmosa POMARAŃCZE z Władysławem Kowalskim i Jolantą Zykun.

ŚRODA, 30. VII. — PROGRAM I

18.25 O UŚMIECH DLA WSZYSTKICH DZIECI — to program studyjno-filmowy, oparty na scenariuszu wiceministra oświaty i wychowania, Jerzego Wołczyka, który go również sam poprowadzi. Zainteresuje on zapewne nie tylko rodziców i wychowawców.

20.20 KOLEKCJONER — głośny film angielskiego reżysera — Williama Wylera (zdobywcy ok. 20 „Oscarów"), który wzbudził duże zainteresowanie na MFF w Cannes, 1965 — przedstawi Kino Interesujących Filmów.

PROGRAM II

22.15 Teatr Sensacji wznowi ODLOT. Przypomnijmy, że jest to telewizyjna adaptacja wątków opowiadań Ksawerego Pruszyńskiego i Józefa Conrada, na których oparł się scenarzysta i reżyser sztuki — Jan Zakrzewski. Grają w niej m. in. Aleksandra Śląska, Jan Machulski, Edmund Fetting, Piotr Pawłowski i Józef Nowak.

TV zastrzega sobie ewent. zmiany w programie.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, JAN JANICKI (redaktor techniczny), WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (zastępca sekretarza redakcji).

Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, ANDRZEJ GRUN, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, BERNARD SZTAJNERT.

DLA NAS I DLA DOMU

KIEDY KLIENT BĘDZIE MIAŁ RACJĘ?

Z dyrektorem Wydziału Handlu i Usług Urzędu Miasta — dr MIECZYSŁAWEM ANTCZAKIEM rozmawia Bogda Madej.

Do sklepu chodzi się codziennie. Do zakładu usługowego rzadziej. Ale bywa tak, że i ze sklepu i z zakładu usługowego wychodzi się niezadowolonym. W ostatnim czasie lodzianie mieli wiele powodów do narzekań na pracę handlu i przedsiębiorstw usługowych. Postanowiliśmy więc zwrócić się do dyrektora Wydziału Handlu i Usług Urzędu Miasta Łodzi — dr MIECZYSŁAWA ANTCZAKA z prośbą o rozmowę na temat pracy handlu i usług w Łodzi.

— Czy do władz miasta, a w tym i do Pana docierają opinie klientów na temat pracy niektórych sklepów i niektórych zakładów usługowych?

— Dokładnie wiemy jaka jest opinia. I w większości przypadków jest ona uzasadniona. Bywa czasem wprawdzie i tak, że opinia klientów jest przesadzona, a bierze się to stąd, że niektórzy ludzie uważają, iż im będą bardziej krytyczni w ocenach, tym szybciej nastąpi poprawa.

— A jaka jest Pana ocena?

— W moim przekonaniu sporo zrobiono dla rozwoju handlu, choć zdajemy sobie sprawę, że jeszcze nie wszystko to, co należałoby zrobić. Tu niewątpliwie nastąpiła poprawa i chyba klienci powinni to odczuć. Natomiast w usługach sytuacja jest znacznie gorsza. W wielu dziedzinach obserwujemy wyższy popyt niż podaż. Ale też i zbyt późno zaczęto inwestować w przedsiębiorstwach usługowych.

— Jak zareagowałby Pan, gdyby w punkcie usługowym po miesiącu od złożenia zamówienia, zwrócono Panu materiał na ubranie i zaproponowano, aby uszył je Pan sobie gdzie indziej?

— Byłbym oburzony.

— A to nie jest tylko jeden przykład. Można byłoby podać ich znacznie więcej. Opóźniania terminów. W zakładzie usługowym jednej ze spółdzielni szyje się np. spódnicę z ich materiału już od kwietnia tego roku. W innej spółdzielni nie dotrzymano terminu wydrukowania zaproszeń ślubnych, ale Urząd Stanu Cywilnego daty ślubu nie mógł z tego powodu przesunąć.

— To już nie jest wynik niedomagania usług, jest to po prostu niedbalstwo, niechlujstwo i niewywiązywanie się z obowiązków.

— Ale klient jest bezradny. Co można na to poradzić, aby takich sytuacji było jak najmniej?

— W tej chwili nie ma sposobu na całkowite wyeliminowanie takich nieprawidłowości W warunkach, kiedy popyt na usługi jest wyższy od podaży zawsze znajdzie się możliwość, w której do głosu dojdą ludzie wygodni, niesumienni czy wręcz nieuczciwi.

Z tego, co powiedziałem, nie należy wyciągać wniosku, że nikt nic nie będzie robił, aby te ujemne zjawiska eliminować. Przeciwnie. Prowadzi się szkolenia, oddziałuje się w różny sposób na ludzi, aby podnieść ich kwalifikacje zawodowe i ukształtować zrozumienie ich społecznej roli i funkcji jako pracowników sfery usług. Ale skuteczność tego systemu oddziaływania będzie zawsze niepełna, kiedy w usługach brakuje 600 osób, a więc przyjmuje się do pracy każdego, kto spełnia minimum warunków oraz — jak już powiedziałem — kiedy większe jest zapotrzebowanie na usługi niż możliwość zaspokojenia tego zapotrzebowania.

— Czyli klient po prostu musi umieć dochodzić swoich praw. Ale nieuczciwość niektórych pracowników usług — to jedna sprawa. Inną — jest niezwykle długi termin wykonywania zleceń w punktach usługowych.

— To już jest sprawa bardziej skomplikowana i bardziej zróżnicowana. Stworzyliśmy warunki, aby Urząd Zatrudnienia w pierwszym rzędzie kierował ludzi do przedsiębiorstw usługowych. Powinni to być dobrzy fachowcy. Ale chętnych jest niewielu. Wbrew temu, co się może wydawać, praca w usługach nie jest ani łatwa, ani lekka. A płace w przemyśle są ciągle jeszcze — mimo regulacji płac w usługach — konkurencyjne. Również szkolnictwo, które ma dostarczać specjalistów dla usług jest mniej popularne od innych kierunków.

— Na brak ludzi do pracy narzekają nie tylko przedsiębiorstwa usługowe. Ten argument, że nie ma ludzi do pracy zbyt często rozgrzesza za takie czy inne niedociągnięcia. Istnieje przecież możliwość przeciwdziałania temu poprzez mechanizację prac, ich automatyzację — tam oczywiście, gdzie to jest możliwe.

— W usługach to nie jest takie proste. Zdajemy sobie w pełni sprawę, że wiele przedsiębiorstw usługowych, wiele zakładów i punktów nie jest jeszcze dostatecznie wyposażonych w niezbędny sprzęt i urządzenia. Od 3 lat dążymy do zmiany takiego stanu, ale ta zmiana nie nastąpi natychmiast.

Z drugiej strony w niektórych dziedzinach usług obserwujemy gwałtowny wzrost popytu. Tak jest np. w usługach krawieckich. Według naszych obliczeń zapotrzebowanie wzrosło o około 70 proc. Nagle okazało się, że szycie sobie ubrania czy sukienki jest tańsze od kupna gotowego ubrania.

— A przy tym nie standardowego.

— Przedsiębiorstwa zajmujące się krawiectwem nie były do tego przygotowane.

Inaczej trochę wygląda sprawa z praniem bielizny i czyszczeniem garderoby. Dzięki inwestycjom nastąpiła tu znaczna poprawa i będzie dalej następowała, ale obecnie — mimo to — praktycznie nie ma mowy o praniu czy czyszczeniu ekspresowym.

— Dlaczego?

— Dlatego, że wystąpiło gwałtowne zapotrzebowanie na te usługi. Jest to zapotrzebowanie okresowe. I jest to nawet naturalne, gdyż zwiększony popyt na tego typu usługi wiąże się z wiosennymi porządkami, z letnimi wyjazdami na urlopy, z malowaniem mieszkań, kiedy robi się jednocześnie generalne porządki. A potem, gdzieś od połowy sierpnia, następuje okres mniejszego zapotrzebowania. I chcemy, aby w tym okresie obniżyć ceny za te usługi, aby zachęcić ludzi do pełniejszego korzystania z pralni. Tutaj może niedostatecznie działa jeszcze informacja, która nie dociera do klienta. Będziemy chcieli w tym roku poprawić i tę sprawę, usprawnić informację.

Foto: W. Parys

— Niektóre spółdzielnie, a dotyczy to również tych, które zajmują się krawiectwem, obok działalności usługowej dają też gotową produkcję, którą sprzedają w swoich punktach lub oddają przedsiębiorstwom handlowym. Rozumiem, że jest to wygodniejsze i łatwiejsze, ale czy to jest w porządku?

— Na pewno nie. Tego nie wolno robić. Przynajmniej nie wtedy, kiedy nie mogą wywiązać się z zamówień indywidualnych. Wolno wtedy, kiedy mają możliwości dla podjęcia takiej produkcji.

— A mimo to tak się robi. Czy dlatego, że w ten sposób łatwiej wykonać można plan?

— Nie sądzę. Plan dla przedsiębiorstw usługowych jest inaczej ustawiony i nie ma kłopotu z jego wykonaniem. Natomiast — jak zresztą pani to powiedziała — tak jest łatwiej. I to prawda. Łatwiej przecież według jednej formy uszyć tysiąc sztuk niż uszyć ten sam tysiąc różnych ubrań, sukienek, spódnic, ubranek. Na to trzeba więcej wysiłku. I tu chyba leży przyczyna.

— Czy Pan jest posiadaczem autosyfonu?

— Nie.

— To ma Pan szczęście.

— Domyślam się, o co pani chodzi.

— Chodzi mi o naboje do autosyfonów. Autosyfon sprzedaje się bez naboi, nawet bez tej pierwszej dziesiątki. Kupić autosyfon jest stosunkowo łatwo, ale później używać go prawie nie można, bo nie ma naboi. Nie ma ich w sprzedaży, nie można ich wymienić.

— Zgadza się. Zapotrzebowanie na naboje do autosyfonów możemy pokryć w okresie lata tylko w 20 procentach.

— Co wobec tego? Z nabojami w upalne dni nie zawsze jest najlepiej, a już z chłodnymi napojami w gastronomii zupełnie źle.

— W gastronomii nie powinno tak być. Gastronomia posiada możliwości takiego ochładzania napojów, aby podawać je klientom zimne. W handlu jest z tym znacznie gorzej.

— Ale w restauracji czy kawiarni dostać coś zimnego do picia, to mniej więcej tak, jak wygrać w Totolotka.

— To już tylko wina kierowników zakładów gastronomicznych, że nie potrafią sobie z tym poradzić.

— A co z nabojami do autosyfonów?

— Staramy się o sprowadzenie z Węgier specjalnego urządzenia do produkcji naboi do autosyfonów. Poza tym nie widzę żadnych przeszkód w instalowaniu urządzeń do nabijania naboi. Gdyby byli do tego chętni, bylibyśmy skłonni im w tym pomóc.

— Z tego, co do tej pory powiedzieliśmy widać, że wiele naszych kłopotów skończy się wraz z postępem inwestycji w usługach.

— Taka jest prawidłowość. Wzrost zamożności społeczeństwa spowodował — co jest naturalne — wzrost popytu na usługi. Ale usługi nie były do tego przygotowane, mimo że dokonuje się tu nieustanny postęp. W ostatnich latach tempo rozwoju tej dziedziny wynosi średnio 22 proc. w roku, a powinno być 40 proc. To już wyjaśnia niektóre niedomagania. O niektórych przyczynach już mówiłem.

— Czy są jeszcze inne przyczyny?

— Tak. W tej dziedzinie usług, która zajmuje się motoryzacją i naprawą wszelkiego sprzętu mechanicznego i elektrotechnicznego poważne kłopoty biorą się z powodu braku części zamiennych.

— Czy w związku z gwałtownym rozwojem motoryzacji miasto będzie w stanie zagwarantować taki sam rozwój usług motoryzacyjnych?

— Sporo już w tej dziedzinie budujemy i będziemy nadal budować i myślę, że to powinno gwarantować równowagę między podażą a popytem na tę dziedzinę usług.

— Jeśli do tego czasu poprawią się dostawy części zamiennych.

— To już leży poza sferą naszych możliwości. Możemy tylko interweniować, ponaglać i domagać się od producentów, aby wywiązywali się ze zobowiązań.

— Podobnie jak w handlu. Sklep może sprzedawać tylko to, co mu dostarczą hurtownie. A te często zapominają o swojej roli. Takie przynajmniej odnosi się wrażenie. Przykładem może tu być chemia.

— To nie jest wina hurtu.

— A czyja?

— Obserwujemy ostatnio znaczne pogorszenie się dostaw artykułów chemicznych. I muszę powiedzieć, że interwencje Urzędu Miasta nie odnoszą tu żadnych skutków. Brakuje na rynku niektórych wyrobów chemii gospodarczej i kosmetyków. W tej sytuacji, kiedy mamy zmniejszone dostawy, nie dajemy tych artykułów do wszystkich sklepów, bo to mijałoby się z celem, ale kierujemy je do sklepów specjalistycznych, wytypowanych.

— Klient aby coś znaleźć musi dobrze pochodzić po mieście. Podobnie zresztą, jak przy kupnie odzieży. Czy próbował Pan kiedyś kupić sobie, synowi lub córce spodnie z teksasu?

— Wiem, że z tym są trudności. Ostatnio zapanowała wielka moda na teksas, a tej tkaniny nie ma pod dostatkiem. Tu jednak domy towarowe — „Central" i „Uniwersal" podejmują bardzo pożyteczne inicjatywy, nawiązując bezpośrednie kontakty z producentami tkanin i odzieży.

— Tylko, że to mało jak na takie miasto, nie mówiąc już o województwie. Ostatnio w ogóle więcej można spotkać w sklepach odzieży zimowej niż letniej.

— W tym, że już jest odzież zimowa, nie ma nic złego. Powinna być jednak obok tego odzież letnia.

— Czy Wydział, którym Pan kieruje, ma możliwość takiego oddziaływania na przemysł, aby w sklepach pojawiało się to, co jest poszukiwane?

— Teoretycznie tak.

— A praktycznie?

— Praktyczną realizację tego oddziaływania utrudniają dwa czynniki. Po pierwsze — produkcja poszukiwana jest bardzo kłopotliwa, bo jest najczęściej nowa, pracochłonna, są to krótkie serie i przemysł niechętnie ją podejmuje. Poza tym przemysł jest w sytuacji, kiedy nie musi tego robić.

— Dlaczego?

— Dlatego, że występują poważne braki w zaopatrzeniu. Na przykład ostatnio przemysł dziewiarski pokrywa nasze potrzeby tylko w 50 proc., a w wyrobach dziewiarskich dla dzieci i młodzieży — w 30—40 proc. Przemysł odzieżowy pokrywa zapotrzebowanie miasta w 70 proc. A przemysł produkujący tkaniny bawełniane — tylko w 20 proc.

— Obecnie zakłady przemysłowe zobowiązały się dać dodatkową produkcję. Czy nie można byłoby spowodować, aby była to produkcja poszukiwana?

— Można, ale przemysłowi wygodniej i prościej dać to, co ma aktualnie na taśmie, gdyż z góry wie, że to i tak pójdzie, chociaż czas jakiś poleży na sklepowej półce.

— Czy nie ma nadziei na poprawę?

— Stale rosnąca dynamika produkcji spowoduje, że przemysł będzie musiał zacząć wytwarzać to, co jest poszukiwane. I już w niektórych dziedzinach zaczynamy obserwować taką właśnie przemianę.

— Mielibyśmy wreszcie nie tylko pełne półki rzeczy niechodliwych, ale i więcej towarów atrakcyjnych. Obawiam się jednak, że handel nie poradzi sobie z większym dopływem towarów.

— Dlaczego?

— Przykładem może tu być przysłowiowa rzeka mleka, która ponoć płynie przez nasz kraj, a która nie zawsze dociera jakoś do sklepów spożywczych.

— Była taka sytuacja, ale winę za nią ponoszą przede wszystkim kierownicy sklepów. W końcu to oni zamawiają mleko i powinni wiedzieć, jakie jest na to mleko zapotrzebowanie.

— W poniedziałek, 7 lipca tego roku, brakowało w Łodzi mleka, chleba, a wiele sklepów było nieczynnych.

— Przyjęliśmy zasadę, że w wolną sobotę czynnych jest 50 proc. sklepów. Pracownicy tych slepów odbierali dzień wolny właśnie w poniedziałek, 7 lipca. I nie byłoby kłopotów, gdyby kierownicy czynnych sklepów zamówili więcej mleka i pieczywa. Niektórzy tak postąpili i nie było problemu. Inni nie. Taka sytuacja jest niedopuszczalna i dyrekcje przedsiębiorstw, a także kierownicy tych sklepów będą ukarani.

Z mlekiem w ogóle sprawa jest trudna. Sklep musi bowiem zamówić tylko tyle mleka, ile mu jest potrzebne i to mleko powinno być dostarczone nocą, aby na rano było jeszcze możliwe do przegotowania. Dostarczanie mleka w godzinach rannych czy południowych jest w zasadzie niedozwolone, gdyż mleko dociera do sklepu już skwaszone lub wręcz zsiadłe, a Sanepid zabrania sprzedawania takiego mleka. Musi ono wrócić do mleczarni, a tam trzeba je ręcznie wylać do zbiornika, aby przeznaczyć na paszę. Robią to ludzie, którzy powinni obsługiwać maszynę do napełniania mlekiem butelek. Hamuje to pracę maszyny i na rano znów nie ma potrzebnej ilości mleka. A więc znajomość potrzeb swoich klientów przez kierownika sklepu ma znaczenie decydujące.

— Skąd biorą się trudności z roznoszeniem mleka do domu?

— Nie powinno być takich trudności. Obecnie płaci się do 70 groszy od butelki, co daje w skali miesiąca przeszło 3 tys. złotych dla roznosiciela. Dla wielu studentów powinno to być źródłem zarobków. Ale mimo tego brakuje chętnych, choć praca nie jest ani taka znów ciężka, ani nie trwa dłużej niż 3 godziny dziennie.

— Czy w przyszłości możemy znów być narażeni na taką handlową posuchę, jaka była 7 lipca?

— Sądzę, że doświadczenia z 7 lipca i nasze przeciwdziałanie spowodują, że przedsiębiorstwa handlowe wyciągną właściwe wnioski i zatroszczą się o należyte zaopatrzenie sklepów na te dnie, kiedy pracuje ich tylko połowa. Jest to w zupełności możliwe.

NIE TYLKO HISTORIA

FILHARMONIA

Historia Łodzi — słowa te kojarzą się nam przede wszystkim z dziejami kapitalistycznej industrializacji, z rozwojem przemysłu, z narastającymi, coraz to bardziej drastycznymi konfliktami klasowymi, tak charakterystycznymi dla epoki kapitalizmu, z rewolucyjną walką proletariatu młodego miasta przeciwko panującemu systemowi wyzysku. Ta wielka historia walk społecznych przesłania jednak zjawiska i procesy, które choć znajdowały się w stosunku do niej niejako na drugim planie, przecież miały istotne znaczenie dla całokształtu dziejów środowiska. Myślę, że już czas zwrócić baczniejszą niż dotąd uwagę na długi szereg zagadnień z dziejów kultury Łodzi, na problematykę oświatową, dzieje instytucji kulturalnych i wiele innych spraw, których poznanie posiada istotne znaczenie dla uzyskania pełnej wiedzy o przeszłości miasta, które z miesiąca na miesiąc traci już swój dawny charakter, przeżywając przemiany, o jakich nie marzyło się nawet poprzednim pokoleniom.

Książka, którą mam w ręku, uświadomiła mi, jak mało wiemy o tym, że Łódź zajmowała od czasów pierwszej wojny światowej poczesne miejsce wśród ośrodków kultury muzycznej kraju. Mało kto przecież o tym wie, że Filharmonia Łódzka, która niedawno obchodziła jubileusz swego sześćdziesięciolecia, była drugą po Filharmonii Warszawskiej tego rodzaju instytucją w naszym kraju, że powstała znacznie wcześniej, niż Filharmonie w takich miastach, jak Kraków czy Poznań, nie mówiąc już o innych ośrodkach. Prawda to, że wcześniejsze zabiegi miłośników muzyki i działających tu artystów nie zostały uwieńczone powodzeniem, prawda jednak — i to właśnie należy podkreślić — że dnia 17 lutego 1915 r. odbył się w sali teatru, mieszczącego się przy ulicy Konstantynowskiej pod numerem 16 pierwszy koncert symfoniczny Łódzkiej Orkiestry Symfonicznej pod dyrekcją Tadeusza Mazurkiewicza. Czy można bez wzruszenia oglądać reprodukcję programu tego koncertu, zredagowanego jeszcze pod nagłówkami niemieckim i polskim, w którym znalazły się utwory L. van Beethovena, R. Wagnera, J. Sibeliusa, a także rzadko już dziś wykonywana Symfonia g — moll B. Kalinnikowa i zupełnie zapomniany utwór J. Svendsena?

Początki były skromne, ale koncerty poczęły się odbywać stale, na afiszach zaś jęły się pojawiać coraz wybitniejsze nazwiska dyrygentów i solistów. W 1918 roku dyrygował w Łodzi wielki Emil Młynarski, rok wcześniej w charakterze solistów pojawili się Henryk Melcer i Stanisław Barcewicz, w 1917 r. występowała słynna niebawem Wanda Landowska, rok później zjwił się na łódzkiej estradzie znakomity Egon Petri, w tym samym sezonie wystąpił jeden z najsławniejszych skrzypków niemieckich Georg Kulenkampff. Grywano wówczas przede wszystkim klasyków i romantyków, pojawiały się również utwory nowsze, wśród nich dzieła C. Debussy'ego, P. Dukasa i innych kompozytorów.

Łódzka Orkiestra Symfoniczna, działająca jako zrzeszenie muzyków, wkraczała w okres li niepodległości z poważnym dorobkiem, który miała teraz rozwinąć. Mimo wszystkich trudności — były to bowiem lata, kiedy trudności nie brakowało — w szczególności zaś ustawicznych kłopotów finansowych, orkiestra rozwinęła szeroką działalność artystyczną. O randze, jaką uzyskała, świadczą zarówno programy koncertów, długie spisy wykonywanych dzieł, jak również lista artystów, którzy z nią występowali. Do 1921 r. można na niej znaleźć kilka wybitnych nazwisk obcokrajowców — m. in. Wilhelma Backuhausa — i znacznie więcej solistów polskich o nazwiskach dobrze znanych w naszej kulturze narodowej. Z początkiem sezonu 1921/22 nastąpiła istotna zmiana: orkiestra przyjęła nazwę Orkiestry Filharmonicznej w Łodzi, sala koncertowa, w której zespół występował, otrzymała miano Filharmonii. Wybitnych nazwisk artystów, pojawiających się na łódzkiej estradzie, jest teraz coraz więcej. Z przybyszów zagranicznych występowali tu wspaniali pianiści: Eugen d'Albert, Walther Gieseking, skrzypkowie tej miary, co Karl Flesch, Henri Marteau, József Szigeti, wiolonczelista Emanuel Feuermann. W programach oprócz dzieł klasycznych i romantycznych coraz częściej pojawia się muzyka nowsza i nowocześni: A. Skrjabin, A. Głazunow, I. Strawiński, S. Prokofiew, P. Dukas, M. Ravel, C. Debussy, O. Respighi, K. Szymanowski... Ale w grudniu 1924 r. przychodzi załamanie: ogólny kryzys dał się poważnie we znaki łódzkiemu zespołowi, który wydźwigał się zeń z ogromnym trudem. Przecież jednak mimo wszystkich przeszkód, niewielkie dotacje miejskie umożliwiły wznowienie regularnej działalności koncertowej już w sezonie 1925—1926.

Niewiele lepiej wiodło się i później, zwłaszcza odkąd około 1935 r. pojawiły się w Łodzi dwa inne konkurencyjne zespoły symfoniczne. Filharmonia jednak działała, choć nie z takim rozmachem, jak niegdyś. Ostatni swój koncert w przedwojennej Polsce dała dnia 12 marca 1939 r. Później nadeszły czasy milczenia. Filharmonia odrodziła się w nowej Polsce. Dnia 15 czerwca 1945 r. pierwszym koncertem zainaugurowała swoją działalność w wyzwolonej ojczyźnie. W programie: S. Moniuszko, F. Chopin, P. Czajkowski, przy fortepianie Zbigniew Drzewiecki, przy pulpicie Zdzisław Górzyński. Kto dzisiaj tę chwilę pamięta?

Książka, która dokumentuje dawne, nowsze i najnowsze dzieje Filharmonii Łódzkiej nosi tytuł: „1915—1975: Państwowa Filharmonia w Łodzi", jest wydawnictwem albumowym, które ukazało się w związku z jubileuszem tej ważnej placówki artystycznej w naszym mieście. Opracowanie całości i redakcja jest dziełem Kazimierza Wodzyńskiego, materiały publikowane w książce przygotowali: A. Pellowski, K. Wodzyński, M. Szałowski, F. Bronowski, wydawcą jest Państwowa Filharmonia w Łodzi. Dziełko piękne i pożyteczne, oby mogło być zapowiedzią pełnej historii Filharmonii Łódzkiej, którą trzeba będzie opracować.

LEKTOR

SPRAWY LUDZI

GENIUSZ ŻYWY

Źle jest, gdy pod ręką brak odpowiedniej książki i trudno w pamięci wybrać cytat — kilka słów z dzieła uwierzytelnionego geniuszem. Z podobnego cytatu wysnuwam własną małą prozę — cytat to kamień węgielny, lub jeżeli kto woli załącznik, bardzo stosowny, wiarygodny — bo cóż bardziej wiarygodnego nad geniusz?

Widziałem obrazy i rzeźby geniuszy, czytałem ich książki, funkcjonowałem w układach społecznych, kształtowanych według koncepcji geniusza... W tej chwili nie mam pod ręką dzieł żadnego geniusza — odstąpiłem znajomym pokój, gdzie śpią sprawiedliwie, obok dzieł geniuszy. W moim pokoju są dzieła geniuszy — w kuchni ich nie ma.

Wszystko to jest moją winą, należy zawsze, w każdej sytuacji mieć pod ręką dzieło geniusza. Idziesz sobie parkiem, siadasz na ławeczce i wyciągasz na moment książkę geniusza, niedużą, kieszonkową reprodukcję obrazu, posągu geniusza i natychmiast inaczej spacerujesz, masz inne koncepcje, w pracy jesteś natchniony, pobudzony, owiany tchnieniem takiego, czy innego olbrzyma.

Ale ja przez całe życie chcę czegoś więcej, chcę spotkać, poznać geniusza, żywego, pogadać z nim, posłuchać, poradzić się. Tak to od wielu lat rozglądam się daremnie, poznałem sporo osób zdolnych, żadna z nich jednak nie otwierała ani nie zamykała epoki. Umysłów oryginalnych nie spotkałem zupełnie, chyba, że w rubryce oryginalności umieścić negację, ale negacja niekiedy tylko bywa twórcza.

Podobno geniusza poznać można raczej w ciszy, nie w zgiełku życia, leżałem zatem godzinami na tapczanie, maksymalnie wyciszony, gotowy do przyjęcia myśli geniusza, którego przywoływałem telepatycznie. Jedynym skutkiem tych polegiwań było częste zasypianie. Stałem się ociężały, gnuśny, nadmiernie utyłem.

Gdyby teraz geniusz mnie spotkał, miałby ze mną sporo roboty, trudno mnie rozruszać, przenieść w sferę myśli i uczuć wyższych. Myślę niemal wyłącznie o jedzeniu, o przyodziewku, o tym, by mieć dach nad głową, by łatwo i szybko zarobić.

Powiadają na Wschodzie: „Wystarczy, by uczeń uczynił jeden krok, Mistrz postąpi w jego stronę dziesięć kroków". Jeśli to prawda, to odległość między mną a Mistrzem jest bardzo wielka. Bo przecież Mistrz to tyle samo co geniusz i nie ma potrzeby akcentować przymiotnika „dydaktyczny". Każdy geniusz jest dydaktyczny. Bywają dni, w których odzyskuję dawną energię, odrzucam książki i dzieła sztuki, wybiegam z domu, by złapać gdzieś geniusza. Te długotrwałe poszukiwania napełniają mnie gniewem. Mruczę przez zęby: „Za kołnierz złapię, z chałupy nie wypuszczę, aż mnie nie oświeci, nie natchnie".

Znowu powraca zmęczenie i nawet zasadnicze zwątpienie. Czy to naprawdę dobrze będzie, jeżeli spotkam żywego geniusza. Bo przecież będzie to geniusz bieżący. Otóż ja rozumiem z trudem geniuszy przeszłości, ale geniusza współczesnego pojąć będą mogły dopiero następne pokolenia. Jeżeli posadzę u siebie geniusza, a ten przemówi do mnie genialnie, a ja zrozumiem z tego: „Keks — brekekeks" i jeszcze minę będę musiał robić poważną i natchnioną... Szukam jeszcze, szukam z nawyku, ale w głębi duszy znaleźć nie pragnę. Po co? Ja nie upadnę — nigdy nie byłem na wyżynach i to jeszcze: „najgłębiej upada ten, kto nie wie gdzie upada".

BERNARD SZTAJNERT

OPOWIEŚCI z DRESZCZYKIEM

ŻYWIĄTKA

UWAGA!!!

Ostrzega się czytelników, szczególnie tych, którzy mają osłabiony system nerwowy, a także tych z żywą wyobraźnią, iż przeczytanie tego opowiadania może narazić ich na przykrości, za co autor nie będzie ponosił odpowiedzialności.

Żąda pan, aby opowiedzieć to wszystko dokładnie jeszcze raz... To był koszmar i jeśli do niego zgadzam się powrócić, to tylko dlatego, że wszystko się dobrze skończyło. Jestem szczęśliwa, że usłyszałam od pana, iż moja Emilcia ma już wszystko poza sobą... Niech pana Bóg błogosławi...

Jakieś dwa tygodnie temu, wieczorem, siedziałam akurat w pokoju i oglądałam telewizję. Nagle słyszę, że Emilcia woła mnie do kuchni:

— Mamo, mamo, chodź zobaczyć to „żywiątko".

Ona tak mówi — „żywiątko" — na wszystko, co żyje i porusza się. Nie poszłam od razu. Myślę sobie: „Co mi tam brzdąc będzie przeszkadzał w oglądaniu telewizji"... Nagle słyszę krzyk:

— Iiiii!!!

Wpadam do kuchni. Emilka stoi wciśnięta w kąt pomiędzy ścianą a kredensem i potwornie krzyczy. W jej oczach widać przerażenie, nieomal obłęd. Patrzę na podłogę, w miejsce, w które wbiła wzrok Emilka i widzę, że prosto na nią sunie stworzenie podobne do olbrzymiego karalucha. Cały ten stwór, wielkości męskiego kułaka lecz raczej bardziej podłużny, pokryty był lśniącym, ciemnobrązowym pancerzem, który niemile chrzęścił przy każdym ruchu. Idąc, „karaluch" przytupywał sześcioma odnóżami i wymachiwał groźnie dwoma długimi i czarnymi „wąsami", które wyrastały mu z dużej, okrągłej głowy w pobliżu pary czarnych, wyłupiastych oczu. Nie było wątpliwości, że ta szkarada atakuje moją Emilkę.

Zabrałam ją do drugiego pokoju, wnet skoczyłam na grzbiet paskudztwa, chcąc je rozdeptać drewniakami (pomimo tego, że są teraz modne, to bardzo wygodnie je się nosi). Pośliznęłam się, bo skorupa na tym szkardzieństwie była wyjątkowo twarda. Emilka wrzasnęła jeszcze głośniej. Karaluch odwrócił się w moim kierunku i zamachnął się „wąsem" usiłując mnie chlasnąć po gołej nodze, lecz chybił. W następnej chwili zaczęłam z wściekłością deptać po nim aż rozległo się coś, jakby „phhhy" i bluznęła wokół posoka obryzgując mi nogi i roznosząc wokół niemiłosierny smród, jak gdyby rozkładających się nieczystości. Rozgniotłam karalucha na kawałki, które wiły się jeszcze i drgały na zbrukanej podłodze.

Emilka przestała krzyczeć. Spojrzałam na nią: twarz jej była biała jak papier, wyjąwszy miejsca ochlapane obrzydliwą juchą. Gdy na nią patrzyłam, nagle osunęła się na podłogę. Zemdlała.

Zabrałam ją do drugiego pokoju, ocuciłam i obmyłam. Potem zaniosłam ją do jej sypialni i położyłam spać. Budziła się z przeraźliwym krzykiem kilkakrotnie w ciąg nocy. Musiałam ją uspokajać i siedzieć przy niej aż znowu usnęła.

Kuchnię sprzątałam długo w noc. Musiałam nie tylko zmyć posadzkę, lecz także wymyć i wyparzyć gorącą wodą wszystkie naczynia, które nie były schowane a także wyczyścić ściany, okna a nawet, w kilku miejscach, sufit. Wszystką żywność, która była na wierzchu musiałam wyrzucić. Dopiero, gdy kuchnię dobrze przewietrzyłam, przykry zapach ustąpił.

Poodsuwałam także wszystkie sprzęty od ścian, wytarłam za nimi kurze i wszędzie nasypałam trującego proszku „Szklarniaku". To samo zrobiłam w łazience i ubikacji. Po tych zabiegach, uspokojona, poszłam spać.

Nazajutrz Emilcia wstała pobladła, z podkrążonymi oczami. Była małomówna i wylękniona. Ta pięcioletnia szczebiotka, zawsze tak wesoła i wścibska, zmieniła się nie do poznania. Nie pomagały moje prośby i tłumaczenia: przez cały czas nie odstępowała mnie na krok i mówiła tylko szeptem. Nawet wtedy, gdy upłynął ponad tydzień od czasu gdy zaatakował ją karaluch, trwożliwie oglądała się na wszystkie strony, gdy usłyszała najlżejszy szelest.

Zaczęłam rozmyślać, czy nie wyjechać z dzieckiem w góry lub nad morze do czasu aż wróci jej dawna żywotność i wesołość. Bardzo szybko okazało się, że rozważania te trzeba szybko wcielać w czyn.

Jakieś dwa dni temu siedziałyśmy z Emilcią przy stole i jadłyśmy obiad. Moja córeczka jakby się trochę zaróżowiła na buzi i wydawała się być odrobinę bardziej niż ostatnio ożywiona. Poprosiła nawet o dokładkę zupy.

W momencie, gdy stawiałam przed nią talerz, coś nagle pac! — spadło z sufitu prosto do zupy. Patrzę, znowu to paskudztwo, tylko trochę mniejsze. Leży na grzbiecie i wiosłuje nieporadnie nogami, gmerając w kluskach i pływających kawałkach mięsa, wąsami" czepia się brzegów talerza, starając się wydostać z opresji.

Na ten widok Emilka zrobiła się zielona na twarzy. Drżąc z obrzydzenia i wściekłości, złapałam widelec — pierwszą rzecz jaka była pod ręką — i zatopiłam go w miękkim podbrzuszu karalucha, aż przeszedł na wskroś i zazgrzytał o dno talerza. Karaluch rzucił się kilka razy w śmiertelnych drgawkach lecz wkrótce znieruchomiał. Wypływająca z rany krew wraz z wnętrznościami mieszała się z zupą a Emilka dodała do tej mieszaniny swoją część zwracając wszystko, co z takim apetytem zjadła.

Gdy ją obmyłam i przebrałam, była tak wyczerpana, że musiałam ją położyć do łóżka. Na jedzenie żadna z nas nie miała już ochoty. Położyłam się z Emilcią, bo nie chciała mnie puścić od siebie nawet na chwilę.

Gdy tak leżałam, wydawać mi się zaczęło w pewnej chwili, że słyszę jakieś szelesty. Wszystko w pokoju wokół mnie zdawało się ruszać, falować i otaczać nasze łóżko, jakby pętlą, coraz bliżej i bliżej. Działo się ze mną coś niezrozumiałego: ogarniał mnie bezrozumny strach, z którym starałam się walczyć ze wszystkich sił, lecz on potęgował się z każdą chwilą. Strach ten był widocznie zaraźliwy w jakiś tajemniczy sposób bo Emilcia znowu zaczęła krzyczeć. Czułam, że zaraz musi się stać coś bardzo strasznego, o ile nie uczynię czegoś zdecydowanego, aby ten strach pokonać.

W pewnej chwili błędny mój wzrok padł na mały egipski stolik, który służył za szafkę nocną. Stał na nim wazon z kwiatami, lampka nocna oraz leżała mała lniana serwetka. Wydało mi się, że pod serwetką coś się porusza. Gdy jej dotknęłam, natychmiast, z jeszcze większym przestrachem, cofnęłam rękę: pod serwetką wyczułam znany mi twardy kształt pancerza!

Schwyciłam wazon i, nie zważając na rozlewaną wodę ani też na Emilki histeryczne zanoszenie się od płaczu i krzyku, uderzyłam z całej siły wazonem o stolik. Drobne kawałki szkła rozprysnęły się po całej sypialni, okaleczony stolik wywrócił się na podłogę tłukąc lampę, a spod serwetki wyskoczyła wysuszona na kość... stara bułka.

Strach minął i zrozumiałam, że obie z Emilką musimy jak najszybciej wyjechać, że nie możemy dłużej siedzieć same w mieszkaniu. Z trudem utuliłam córeczkę i ułożyłam ją do snu, posprzątałam mieszkanie i zaczęłam pakować rzeczy do wyjazdu. Postanowiłam wyjechać następnego dnia rano.

Nie dane mi było jednakże wyjechać wtedy, kiedy to zaplanowałam. Tego samego dnia, wieczorem, usłyszałam jakieś dziwne hałasy dochodzące z rur kanalizacyjnych w łazience. Były to jakby pocierania, drapania, a nawet, co przypisałam mojej rozbudzonej wyobraźni, gryzienie, lub raczej, piłowanie rury. Zaraz też na ścianie pojawiła się brunatnordzawa plama, która gwałtownie zaczęła się powiększać. Gdy następnego dnia rano udałam się do łazienki, zobaczyłam poodpadane tynki i długą na około dwadzieścia centymetrów, wąską szczelinę w ścianie, a raczej w zatopionej w niej rurze, przez którą sączyła się powoli gęsta, brudna, cuchnąca maź. Wanna była prawie do połowy tym wypełniona.

Do czasu usunięcia awarii nie mogło być mowy o wyjeździe. Zadzwoniłam do administracji, gdzie zbyli mnie w zwykły sobie sposób, obiecując naprawę za dwa tygodnie. Z kolei zatelefonowałam do pogotowia wodno-kanalizacyjnego lecz tam powiedziano, że przyjmują zlecenia dopiero po południu, wtedy gdy kończą pracę administracje. Zrozpaczona, wzięłam się sama do roboty. Zatkałam dziurę papierem toaletowym i na jakiś czas zatamowałam wypływanie nieczystości. Maź w wannie nie dawała się spłukać, bo chyba zatkały się przewody. Musiałam więc wynosić cuchnącą breję wiadrem do ubikacji, wylewać do sedesu i spłukiwać wodą. Na takiej pracy zszedł mi czas do południa.

Specjaliści od kanalizacji dali się ubłagać i obiecali przyjść wieczorem. Po południu znów zaczęło się lać z rury; tym razem szczelina zamieniła się w dużą, czarną i smrodliwą dziurę. Na szczęście, ilość cieknącej mazi nie zwiększała się. Jednakże teraz nie miałam pojęcia jak mogłabym zatkać tak wielką dziurę. Dlatego też ograniczałam się do okresowego wynoszenia nagromadzonej mazi do ubikacji.

Czas płynął, zrobił się wieczór a hydraulicy nie nadchodzili. Około dziewiątej położyłam córeczkę spać a sama cierpliwie czekałam. Byłam tak znużona, że nie chciało mi się nawet zapalić światła. Oczekiwałam dźwięku dzwonka jak wybawienia.

Czekając tak długo, musiałam się w końcu zdrzemnąć, bo nagle gwałtownie podskoczyłam w fotelu i usiadłam wyprostowana z niespokojnie łomocącym sercem. Nie wiedziałam, co mnie obudziło.

Po chwili zdałam sobie sprawę z tego, iż słyszę jakiś chrzęst czy chrobot, jak gdyby ktoś potrząsał torbą pełną włoskich orzechów. W tej samej chwili rozległ się przeraźliwie straszny i przeciągły wrzask Emilki. Zapaliłam światło. Wypadłam na korytarz. W tym samym momencie ujrzałam Emilcię, jak wylatuje, krzycząc w dalszym ciągu, z sypialni. Przez otwarte drzwi zobaczyłam podążającą za nią całą sforę olbrzymich, tłustych karaluchów.

Emilka krzyczała machając rękami i strząsając te przeklęte stwory, które obsiadły jej ramiona, uczepiły się piersi i wplątały we włosy. Podbiegam do niej i zaczęłam to paskudztwo odrywać od niej rękami i miotać po korytarzu. Wnet cała chmura karaluchów zaatakowała nas obydwie. Zobaczyłam jak jeden, mniejszy, lśniąc czarnym pancerzem, wypełznął Emilci na policzek, a gdy ona z obrzydzenia, strachu i bólu jeszcze głośniej krzyknęła, wpakował się jej prosto w usta. Dziecko zaczęło się dusić i charczeć.. Złapałam za lśniący odwłok i szarpnęłam. Dziecku buchnęła krew ustami po czym Emilcia przewróciła się prosto w sam środek czarnego tałatajstwa.

Ogarnął mnie szał wściekłości. Schwyciłam z szafki z narzędziami stary rosyjski bagnet z wyostrzonym szpikulcem, który używany był jako śrubokręt i zaczęłam kłuć, deptać, rozbijać duże i małe karaluchy z taką furią, że wkrótce tłum ich się przerzedził i zaczęły kryć się po kątach. Wtedy podniosłam Emilcię, aby ją wynieść z pobojowiska.

Od tej chwili niewiele już pamiętam z tego, co się stało. Wszystko jest dla mnie obrazem chaosu i kotłowaniny i widzę to, jako coś, co mi się przyśniło i nie dotyczyło mnie bezpośrednio. Jeden jeszcze tylko straszny moment utkwił mi w pamięci bardziej niż cokolwiek innego.

Pamiętam, że w pewnej chwili otwarły się drzwi i stanęły w nich wysokie postacie. W pierwszej chwili odetchnęłam z ulgą, bo wydawało mi się, że to ludzkie, ponieważ szła od nich jakaś biaława poświata. Gdy jednak światło z klatki schodowej lepiej ich oświetliło, ze zgrozą rozpoznałam w nich identyczne kopie karaluchów, jak te z którymi walczyłam, tyle że monostrualnych rozmiarów.

Stwory zamachnęły się na mnie umięśnionymi mackami a ja, jak błyskawica, z mściwością, wraziłam bagnet aż po rękojeść w brzuch stojącego bliżej mnie, po czym rzuciłam się na drugiego.

Co było potem — nie wiem. Dowiedziałam się od ludzi, że w krytycznej chwili przybyła pomoc kilku mężczyzn, którzy przewieźli Emilkę i mnie do tego miłego szpitala. Podobno dom, w którym mieszkałam trzeba było zburzyć do fundamentów i dokładnie wydezynfekować aby zniszczyć to plugastwo, które się w nim zagnieździło.

A teraz, skoro już wszystko opowiedziałam, chciałabym zobaczyć moją córeczkę...

Lekarz demonstrujący nagranie przekręcił wyłącznik magnetofonu i głos kobiety zamilkł.

— Jak koledzy słyszeli — powiedział — objawy są typowe dla tego typu choroby. Dodam tylko, że w napadzie szału kobieta ta zabiła swoją córeczkę oraz poważnie zraniła pielęgniarza. Poproszę teraz któregoś z kolegów o zreferowanie typu leczenia.

WŁADYSŁAW KRAKUS

PRACOWITE LATO

ŻNIWA

Dalszy ciąg ze str. 1

100 ha, średnia krajowa — 12, ale jednocześnie rolnicy posiadają aż 1.636 ciągników. Czyli, że jest dobrze. Pozytywnym zjawiskiem jest również fakt, że średnia gospodarstw indywidualnych wynosi 5,3 ha, a średnio na 100 ha pracuje tutaj prawie 40 osób, podczas gdy w kraju tylko 27.

Nie popadajmy jednak w euforię. Na nadmiar rąk do pracy wcale się nie cierpi. Wieś starzejąca się, nie wszyscy mogą być w pełni wykorzystani podczas kampanii żniwnej. Dlatego też powołane sztaby żniwne pod wodzą naczelników gmin opracowując marszruty dla maszyn rolniczych w systemie brygadowym, uwzględniły w pierwszej kolejności nie tylko rejony wcześniejszego dojrzewania zbóż. I tak na przykład w harmonogramach uzgodnionych między SKR i kierownikami gminnej służby rolnej ustalono, że kolejność świadczenia usług będzie następująca: 1. umowy i rolnicy w wieku podeszłym 2,. zespoły rolników indywidualnych 3. kooperatorzy spółdzielni kółek rolniczych 4. rolnicy posiadający uprawy zblokowane.

W niektórych gminach sprzęt z PGR i spółdzielni produkcyjnych będzie wykorzystany w ramach kooperacji u rolników indywidualnych. Ponadto wzorem lat ubiegłych do akcji **„Każdy kłos na wagę złota"** włączyły się koła ZSMW, niosąc pomoc przede wszystkim gospodarzom osamotnionym i w podeszłym wieku.

Aby uzupełnić niedobór pracowników sezonowych do obsługi snopowiązałek i młockarni, zaangażowano na praktyki wakacyjne 55 uczniów z ZSR i 120 uczniów ze starszych klas Techników Rolniczych. SKR zorganizowały także 147 brygad składających się z kompletów po 3 - 5 snopowiązałek wraz z ciągnikami, obsługą techniczną, z dowozem paliwa, posiłków regeneracyjnych itp.

Sprawny przebieg żniw zależny będzie nie tylko od maszyn i obsługujących ich ludzi, lecz także od dobrego kierownictwa. Naczelnik gminy ma prawo i obowiązek wydania zarządzenia skoszenia i sprzątnięcia zbóż przez placówki uspołecznione, obciążając kosztami właściciela gruntów. Idzie tylko o to, aby swoje uprawnienia należycie wykorzystywał. Jak jednak świadczą liczne przykłady, wymieniając choćby gminy Czarnożyły i Szadek, sprawne przygotowanie akcji żniwnej potwierdza, iż w nowych warunkach administracyjnych sprawy rolnictwa trafiły w dobre ręce.

Pozostaje jeszcze problem „odwieczny", czyli części zamienne. W b. roku zaopatrzenie jest znacznie lepsze, ale nadal poważne trudności sprawiają pozycje od lat deficytowe, takie jak przycisk kosy czy łożyska do kosiarek KZ-3, sprzęgło kpl, targaniec do snopowiązałek WC-5 i inne. Na marginesie warto dodać, iż rolnicy indywidualni posiadają przeważnie ciągniki, których Ursus już nie produkuje, a więc na części zamienne też nie ma co liczyć.

W żniwa liczyć się będzie nie tylko każdy POM, ale i każdy kowal, dyżurujący w dzień i w nocy.

Sklepy przestawiły się już na dogodne dla rolników godziny pracy. Handel pokryje pełne zapotrzebowanie w podstawowe artykuły żywnościowe, jak pieczywo, masło, sery, twarogi, zupy błyskawiczne, wody mineralne itp. Zaopatrzenie w mięso i wędliny nie będzie pełne, lecz braki uzupełni się ze zgromadzonych zapasów konserw.

Na okres żniwny zorganizowanych zostanie 120 dziecińców, gdzie znajdzie opiekę około 3 tys. dzieci. Dziecińce powstaną prawie we wszystkich gminach.

Trzeciego lipca, kiedy pisałem te słowa, skoszono około 80 proc. rzepaku. **Tadeusz Stasiak,** I sekretarz KW PZPR w Sieradzu, który jeszcze mieszka w Łodzi, mówi, że w drodze do komitetu przy okazji penetruje teren. Sam widział, że w południowej i wschodniej części województwa rzepak stoi w stygach. Jeśli będzie słońce, za dwa, trzy dni wszystko zostanie sprzątnięte.

Początek żniw dobry. O dalszym ich przebiegu zadecydują ludzie, pogoda i maszyny. Na terenie województwa czeka 69 punktów skupu w których będzie można zmagazynować 60 tys. ton zboża.

RYSZARD BINKOWSKI

HISTORIA OBYCZAJÓW (VI)

ZBIGNIEW KUCHOWICZ

MIŁOŚĆ I POLITYKA

Beztroskie współżycie naszej pary nieco zmącił fakt przypomnienia królowi, że jest żonaty, iż powinien sprowadzić małżonkę do Wilna. Można się łatwo domyślić, że wywołało to jego zdecydowane niezadowolenie. Po długich konferencjach, pod mocnym naciskiem posłów cesarskich, doszło wreszcie do tego, że August sprowadził Halszkę do Wilna. Okazał się wobec niej kurtuazyjny, zajął się zorganizowaniem jej dworu, zapewnieniem opieki lekarskiej. Na tym się jednak skończyło. Władca nie chciał współżyć ze swą flegmatyczną żoną, ani myślał wyrzekać się rozkosznych przeżyć z Barbarą. Królowa wiedziała o wszystkim i trzeba jej szczerze współczuć, próbowała udawać, że wszystko układa się dobrze, pisała uspokajające listy do rodziców, w istocie dławił ją smutek i rozpacz. Znawca tych spraw Ludwik Kolankowski pisał:

„Pożycie jej z mężem w Wilnie nie było żadną miarą wynagrodzeniem krzywdy, jaką była dla niej niewątpliwie całoroczna przeszło z nim rozłąka. Stanowiło ono raczej nowe udręczenie, dodawało do dawnych ran świeże. Młody król i nadal z żoną nie żył, a na wszelkie w tym kierunku uwagi odpowiadał chłodno i szorstko, że »zna swe obowiązki i wie, co czyni«".

Barbara mogła triumfować, w pobitym polu znalazła się bądź co bądź córa rzymskiego króla, mająca opinię niewiasty cnotliwej i świętobliwej. Okazało się, że urocza i bynajmniej niecnotliwa wojewodzina pokonała „anioła", rozwiała resztę złudzeń i nadziei młodziutkiej, znoszącej coraz to nowe upokorzenia rywalki. Jej zwycięstwo było bezapelacyjne, druzgocące. Niedoświadczona i zalękniona Elżbieta nie mogła się z nią równać, nie umiała, nie potrafiła tak kochać jak Barbara.

Królowa marniała toczona zgryzotą i nękającą ją epilepsją. W kwietniu i maju 1545 roku powaliły ją ciężkie ataki chorobowe. Później jednak jej stan poprawił się, sądzono, że młodość zatriumfuje nad chorobą. Stąd też 9 czerwca Zygmunt August mógł raczej spokojnie opuścić swoje panie udając się z wizytą do rodziców. Ledwie jednak wyjechał do Krakowa przybył goniec donosząc, iż 15 czerwca królowa Elżbieta, zwana u nas Halszką, zmarła. Zygmunt August przybrał wraz z dworem żałobę, lecz nie okazywał głębszego żalu. Powrócił jednak oczywiście do Wilna, gdzie 24 sierpnia uroczyście pochował, przedwcześnie zmarłą, ledwie dziewiętnastoletnią żonę.

Nagły zgon młodziutkiej królowej spowodował pogłoski, krążące tak w kraju jak za granicą, że Elżbieta została otruta za sprawą naszej Barbary. Było to jednak oszczerstwo, wojewodzina, ani zresztą nikt inny, nie przyśpieszył śmierci Austriaczki. Jest tylko prawdą, że zgon Elżbiety pozwolił Barbarze już bez żadnych osłonek zawładnąć królem, być przy nim jeszcze częściej. W tym celu zamieszkała teraz w Wilnie, w dworcu radziwiłłowskim znajdującym się w bezpośredniej bliskości królewskiego zamku, w którym rezydował jej utytułowany kochanek. Nie obserwował on żałoby, razem z Barbarą rzucili się oboje w wir dworskich zabaw. Właśnie ze względu na kochankę król organizował nie kończące się uczty, maskarady, turnieje, przysłowiowo mówiąc — rozrzucał garściami złoto. Sprowadzał wielkie ilości węgierskich win, zamorskich przypraw, francuskie sukna, weneckie zwierciadła. Uważano, iż wydatki dworskie przekraczają istotne potrzeby, że król trwoni posag swej zmarłej żony. Młodzi kochankowie, otoczeni równie młodym i beztroskim dworem, nie chcieli jednak liczyć złota ni godzin, czas wyznaczały im zabawy i spotkania.

Festyny, bankiety i polowania stanowiły jedynie oprawę, tło królewskiego romansu. Wszystkie informacje wskazują, że gorliwie korzystali ze swobody i bliskości. Jeśli chodzi o Wilno, to Zygmunt August kazał sporządzić tajne przejście, które umożliwiało mu kontakty z kochanką. Współczesna kronika tak o tym pisze:

„A król począł do niej chodzić nocą, kazawszy sobie zrobić przejście z zamku do jej dworu, a bywał u niej często, i było o tem słychać po całej ziemi polskiej i litewskiej".

Dziewiętnastowieczni historycy z powagą zapewniali, iż wizyty te miały niezwykle idylliczny i „romantyczny" charakter, że król odwiedzał Barbarę jedynie w pełnym kwiatów ogrodzie, że szeptał słowa miłości, iż nad spotkaniami tymi czuwała mieszkająca z Barbarą matka. Karol Szajnocha pisał:

„Melancholijny temperament Augusta i łagodne, do marzenia i samotnych dumań skłonne, usposobienie wojewodziny, wykluczały z tych schadzek wszelką zmysłowość i namiętność".

Tego rodzaju słowa można położyć między przysłowiowe bajki, w istocie było oczywiście inaczej. Matka zamieszkiwała wprawdzie z Barbarą, lecz nie myślała przeszkadzać zakochanej parze, odwrotnie, udawała się ponoć do wróżek i czarownic, byle tylko jeszcze bardziej rozpalić i przywiązać Augusta. Pewne głosy zarzucały kasztelanowej omal rajfurzenie Barbarą, niektórzy historycy snują przypuszczenia, że nawet ona sama chciała romansować z królem. Barbara składała wizyty królowi podczas pobytu w jego letniej rezydencji, odwiedzała go podczas wielodniowych polowań, wiadomo że często przybywała na przykład do myśliwskiego dworu w Rudnikach. Można tedy powiedzieć, że August miał ją kiedy chciał, Barbara nie pozwalała, by nazbyt dokuczał mu głód miłości, wiedziała, jak postępować z młodym i namiętnym mężczyzną.

Barbarę i Zygmunta łączyły jednak nie tylko zmysły, nie tylko pożądanie seksualne. Stali się sobie bliscy, niezastąpieni. W pewnym momencie romans namiętnego króla z przysłowiową „wesołą wdówką" przemienił się w tkliwą, gorącą, wielką miłość. Barbara przestała się interesować innymi mężczyznami, Zygmunt porzucił inne kochanki. Król przestał darzyć głębszymi uczuciami tak bliskich mu dotąd rodziców, przyczyną tego były m.in. wspomniane wyżej konflikty. Istnieją podstawy do mniemania, że podobne zmiany nastąpiły także w psychice naszej bohaterki, wszystko wskazuje, że w tym czasie zmienia się także jej stosunek do matki. Rzecz znamienna, że ich związek z każdym rokiem zacieśniał się, pogłębiał. Odnosi się wrażenie, że moment seksualny nie był w nim już najważniejszy, przecież w późniejszych czasach zdarzało się, iż byli rozłączeni przez długie miesiące, a ich uczucia nie ulegały najmniejszej zmianie.

August umiał kochać nie tylko w łożu, nie taił swych uczuć, potrafił je ukazywać. Dla ukochanej organizował owe festyny, obsypywał ją wyszukanymi podarunkami. Między innymi sprowadził z Zachodu nie znane dotąd w Polsce łabędzie — ptaki miłości średniowiecznego rycerstwa, które osadził na wysepce znajdującej się pośród wód rzeki Wilii. Według słów dobrze poinformowanego Stanisława Górskiego Zygmunt August już w 1546 roku „oddał się całkowicie (...) wojewodzinie trockiej". W tym czasie rozsypywał też garściami złoto pośród członków familii Radziwiłłów. Czynił to w rewanżu za poparcie, jakiego mu użyczali w sprawie przejęcia władzy w Wielkim Księstwie Litewskim, w dużej mierze jednak właśnie ze względu na Barbarę.

Należy mocno podkreślić, że wówczas nasza para nie myślała o małżeństwie, o zalegalizowaniu swego cudownego romansu. Zygmunt August zastanawiał się nad sytuacją, lecz zdawał sobie sprawę, że związek małżeński z Barbarą napotka olbrzymie opory ze strony rodziców i opinii polskiej, że będzie kolidował z interesami dynastii, a może nawet państwa. Ponieważ obowiązkiem króla było jednak zapewnienie ciągłości dynastii, ponieważ — jak wiemy — był wdowcem, więc musiał rozpatrywać się za kandydatką na legalną małżonkę. W tym celu wysłał w końcu grudnia 1546 roku swego dworzanina Lasotę na dwory zachodnich stolic, by zorientować się w możliwościach ewentualnego ożenku.

Równocześnie stamtąd przychodziły oferty dla naszego Jagiellona, między innymi ze strony panujących Walezjuszy francuskich. Zygmunt August propozycje te zbywał jednak ogólnikowymi odmowami, widać było, że nie śpieszy się do mariażu z cudzoziemską księżniczką. Odmowy czynione zachodnim władcom przyjęte zostały z zadowoleniem przez parę królewską w Krakowie, tutaj bowiem planowano inny związek. Postanowiono, szczególnie gorliwie popierałą ten projekt królowa Bona, ożenić syna z córką księcia Albrechta pruskiego. Już 2 stycznia 1547 roku donosił o tych zamiarach księciu Albrechtowi kanclerz Sobocki, prosząc jedynie o zachowanie tajemnicy. W Królewcu plany te przyjęto z wielkim zadowoleniem oczekując oficjalnych propozycji. Mijały jednak miesiące, a Zygmunt August nie deklarował się, w tej sytuacji Albrecht polecił swemu urzędowemu agentowi na dworze wileńskim, Gabrielowi Tarle, poruszyć przed królem sprawę ożenku, a dla zachowania pozorów zaproponować mu w imieniu księcia księżniczkę brunświcką. Na tajnej audiencji w połowie sierpnia 1547 r. Tarło przedstawił sprawę królowi otrzymał jednak odpowiedź wymijającą. August oświadczył, że zajęty ważnymi sprawami musi w najbliższym czasie jechać do Korony, nie ma więc obecnie czasu myśleć o małżeństwie.

Stosunki Zygmunta Augusta z Barbarą w latach 1546—47 były jednak tak głośne, iż w Wilnie zaczęto snuć domysły, czy król nie myśli o małżeństwie właśnie z Radziwiłłówną. Domysły te wywołały poruszenie. Zygmunt August wiedząc o tych wersjach i reakcjach złożył w sierpniu 1547 roku, w rozmowie ze wspomnianym Tarłą, zdecydowane dementi, orientując się, że jego oświadczenie będzie rozpowszechnione.

Według Tarły Zygmunt August odcinał się stanowczo od tych projektów, podobno wzywając na świadka Boga, miał mówić następująco:

„Kochany Tarło,. Bóg który jest i będzie wszystkich nas sędzią, wie, że te sprawy (małżeństwo z Barbarą) posądzają mnie niewinnie i mam nadzieję, że Pan Bóg, jak go o to co dnia proszę, nie dopuści mnie do tego upadku, bym miał źle użyć swego rozumu".

W dosłowność słów królewskich, podanych przez Tarłę, niestety nie możemy wierzyć, o czym niżej, niemniej jest faktem, że Zygmunt August projektom małżeństwa z Barbarą jeszcze latem 1547 roku zaprzeczał.

Wszystkie fakty świadczą, że Barbara nie przywiązywała wagi do formalnego zalegalizowania związku, nie myślała o małżeństwie. W jej postępowaniu nie można dostrzec wyrachowania, podwójnej gry, nie czyniła najmniejszego nacisku, by zmuszać ukochanego do mariażu. Inny pogląd na tę sprawę mieli jednak jej bracia — Rudy, a przede wszystkim pełen niezmierzonych ambicji i żądzy władzy Czarny Radziwiłł. Rolą Barbary jako konkubiny królewskiej na dłuższą metę im nie odpowiadała. Do czasu byli zadowoleni, wiemy, że czerpali przecież wielkie, materialne i prestiżowe korzyści z tego związku, istnieją poszlaki, iż Czarnego można uznać wręcz za stręczyciela wiodącego króla do kuzynki. Przez pierwsze lata romansu nie wiązali z nim jednak dalszych, trwalszych planów. Sądzili, że romans rychło się skończy, że król zacznie faworyzować inną miłośnicę. Nie doceniali uroku Barbary, nie wierzyli w moc Augustowej miłości. Mijały przecież miesiące i lata, a król nie chłódł, lecz wręcz zatracał się w swym kochaniu, otoczenie widziało, że całym sercem miłował swą panią. W tej sytuacji, po trzech latach królewskich amorów, poczęli inaczej działać.

Podzielam pogląd, że zorientowawszy się w sytuacji postanowili zagrać o najwyższą stawkę i doprowadzić do małżeństwa Barbary z ostatnim Jagiellonem. Nie chodziło im bynajmniej o zalegalizowanie „grzesznego" związku, nie trapiły ich skrupuły moralne. Pragnęli po prostu wyniesienia swego rodu, opromienienia go blaskiem korony. Chcieli zostać krewnymi Zygmunta Augusta, a przez niego spowinowacić się z większością domów panujących ówczesnej Europy. Przez Barbarę postanowili uzyskać trwały wpływ na króla, przez nią chcieli władać

Dalszy ciąg na str. 5

SŁOWNIK PISARZY ŁÓDZKICH

Fot. ST. KIEŁCZEWSKA

IGOR SIKIRYCKI

IGOR SIKIRYCKI urodził się 31. VIII. 1920 r. w Brześciu nad Bugiem. Gimnazjum ukończył w Lublinie i tam też rozpoczął studia polonistyczne, które — po wojnie — kontynuował na Uniwersytecie Łódzkim. W okresie okupacji walczył w szeregach AK na terenie Lubelszczyzny. W 1944 r. brał udział w pracach PKWN w wyzwolonym Lublinie, nie zaniedbując zadzierzgniętych wcześniej związków z tamtejszym środowiskiem literackim. Przez kilka miesięcy pełnił funkcję spikera w lubelskiej rozgłośni Polskiego Radia. W 1945 r. przenosi się do Łodzi i podejmuje pracę w łódzkiej radiostacji. Radio absorbuje go do roku 1950. Następnie sprawuje obowiązki kierownika artystycznego Teatru 7,15. Do roku 1971 kilkakrotnie wybiarany do władz zarządu łódzkiego oddziału Związku Literatów Polskich. Obecnie działa jako radny w Komisji ds. Kultury Urzędu M. Łodzi. Ponadto jest członkiem Ogólnopolskiego Komitetu Pokoju i Komisji ds. Młodzieży przy Zarządzie Głównym ZLP w Warszawie, a także wchodzi w skład Zarządu Sekcji Polskiej Międzynarodowego Kuratorium ds. Literatury dla dzieci i młodzieży (IBBY).

Młodzieńczy debiut poetycki Sikiryckiego przypada na rok 1937, kiedy to w młodzieżowym czasopiśmie lubelskim „W słońcu" ogłasza swoje pierwsze utwory. W rok później próbuje sił w przekładzie „Modlitwy" Lermontowa. W tym czasie wiąże się z grupą młodych poetów (m. in. J. Hartwig, J. Pieśniarowicz, H. Romanowski, Z. Mikulski) skupionych w klubie literackim działającym pod opieką prof. Kleinera. Dojrzały debiut poetycki przynosi rok 1944. Na łamach tygodnika „Odrodzenie" (nr 4) ukazuje się wiersz „Plan dnia". Przyszły pisarz okaże się twórcą niezwykle płodnym i wszechstronnym. Jego zainteresowania rozwijają się w wielu kierunkach, a o dorobku literackim charakteryzującym się bogactwem uprawianych form i podejmowanych tematów świadczy ilość wydanych pozycji prac edytorskich.

Jest więc Sikirycki poetą, satyrykiem, autorem książek dla dzieci i młodzieży, a szczególne miejsce w jego literackiej działalności stanowi praca translatorska — tłumaczenia z literatur narodów ZSRR: gruzińskiej, armeńskiej, białoruskiej i rosyjskiej. Ponadto uprawia reportaż, pisze scenariusze do audycji radiowych, filmów dziecięcych („Orzeszek", „Maluch", „Lotki"). Sięga także po utwory i adaptacje sceniczne: libretto do musicalu P. Marczewskiego wg „Przygód pana Kleksa" J. Brzechwy, przekład libretta Z. Paliaszwilego do opery „Legenda Gruzińska", adaptacja „Konika Garbuska" dla teatru lalek baśń „Zatopione królestwo", „Tajemnica starej wierzby" (wspólnie z R. Sykałą, 1971), komedia „Co komu winna spółdzielnia gminna (1954, wespół z W. Drygasem).

Redaguje też antologie i zbiory: „Wiersze o braterstwie" (KiW 1951); „Poezja i proza Azerbejdżanu") z T. Chróścielewskim. (WŁ 1975); „Księga przyjaciół" (PIW 1975), antologia poświęcona literackim kontaktom pisarzy polskich i radzieckich; tom poezji Aleksandra Nikołajewa „Kanonada" (1971) oraz „Wiersze wybrane" Maksima Tanka (WŁ 1974). Na osobną uwagę zasługuje pionierskie wydanie „wyboru wierszy" M. Kajki (Czytelnik 1954), które jest pierwszą wydawniczą próbą podsumowania dorobku poety.

Na lirykę Sikiryckiego składają się tomiki: „Wołanie drzew" (ZLP 1950), „Nocny połów" (WŁ 1966), „W stronę Kolchidy" (WŁ 1974). W pierwszym, wczesnym zbiorku („Wołanie drzew"), zawierającym utwory powstałe w latach 1939—1949, liryka wojenna przeważa nad liryką krajobrazu. Pesymizm wynikły z zagrożenia wojną, refleksje nad niepewnością ludzkiego istnienia i młodością poświęconą sprawie walki za ojczyznę, wspomnienie leśnych towarzyszy, optymistyczna wiara w odbudowę nowego kraju — oto tematyka wierszy. Strofy w swym tradycyjnym ujęciu formalnym, stylizowane są niekiedy na balladę czy ludową kołysankę. Warto zauważyć, że pojawia się w tym zbiorku charakterystyczny motyw drzewa-symbolu siły przyrody zwyciężonej przez człowieka, który powracać będzie w dalszej poetyckiej twórczości pisarza.

„Nocny połów" stoi pod znakiem liryki krajobrazu. Walory tej poezji, której patronują poeci staropolscy i współcześni, to balladowa fantastyka osadzona na ludowych motywach i liczne eksponowanie elementów pejzażowych.

Wydany w 1974 r. tomik wierszy „W stronę Kolchidy" reprezentuje inny już model liryki. Zwrot ku Kolchidzie, to owoc podróży, kontaktów, a wreszcie fascynacja kulturą armeńską i gruzińską. Swoista interpretacja mitologii, zaszokowanie pięknem krajów kaukaskich, oryginalny dobór motywów wyrażają się cyklem wierszy, w których odchodzenie od klasycznych rygorów składniowych łączy się z próbą stylizacji wschodniej.

W poezji Sikiryckiego ma także swoje miejsce twórczość satyryczna zebrana w tomikach: „Igraszki i fraszki" (WŁ 1966), „Ostrożnie świeżo napisane" (WŁ 1963). Znać tutaj osobisty stosunek pisarza do wielu palących spraw społecznych. Bajki, ballady, fraszki, limeryki i humoreski składają się na formę satyrycznych treści.

Osobny rozdział w dorobku Sikiryckiego — bodaj czy nie największy — stanowi literatura dziecięca i młodzieżowa, „Bajki na dobranoc" (WŁ 1970), wybór już wcześniej znanych i popularnych wśród najmłodszych czytelników wierszowanych bajek, jak „Przygody rycerza Chwalipięty", „O komarze i orkiestrze", „Stara kuźnia". Niezaprzeczalnym walorem tych utworów jest komunikatywność wyrażająca się w fabule (fantastyka baśniowa wzbogacona o elementy realizmu), plastyce obrazu i prostocie języka. Z kolei „Najweselsza szkoła" (WŁ 1972) zwraca uwagę dowcipnymi fraszkami szkolnymi, w których autor zawarł cały arsenał uczniowskich wad z lenistwem na czele.

Do starszej młodzieży adresowane są powieści: „Siedmiu nieobecnych (WŁ 1970) i „Pietrek z Puszczy Piskiej" (WŁ 1972) zaliczane do literatury wojennej. Zainteresowanie tego typu literaturą stale wzrasta i Sikirycki umiejętnie je wyzyskuje odwołując się — jak na przykład w pierwszej z tych powieści — do wspomnień i obrazów z lat szkolnych przerwanych kataklizmem wojennym. „Siedmiu nieobecnych" to książka — dokument poświęcona pamięci kolegów gimnazjalnych poległych w obronie Lublina w czasie ostatniej wojny. W relacji autora pojawiają się postacie profesorów i uczniów, poznajemy atmosferę przedwojennej szkoły średniej i wreszcie pora na zagadnienie naczelne, jakim jest świadomy wybór przedstawicieli młodego pokolenia: uczestnictwo w antyfaszystowskim ruchu oporu. Ciekawie pomyślana jest konstrukcja powieści. Czas narracji i czas zdarzeń łączy pisarz na zasdzie konfrontacji wspomnień z teraźniejszością.

Powieścią o pokrewnej tematyce, choć poruszającą inne zgoła problemy pomijane dotąd w literaturze młodzieżowej, jest „Pietrek z Puszczy Piskiej" (WŁ 1972). O ile poprzednia powieść nawiązywała do początkowego okresu wojny, tutaj czas akcji jest czasem jej końca. Konflikty urodowościowo-społeczne, działalność jednostek amoralnych wykorzystujących ówczesną sytuację dla wyciągnięcia materialnych korzyści jest tłem, na którym postać bohatera rysuje się jako przykład świadomego przeciwstawienia się takim jednostkom nawet za cenę walki o honor i życie.

Obydwie powieści stawiają pisarza w rzędzie kontynuatorów tradycji pewnych wersji mitu arkadyjskiego, gdzie rolę czynnika destrukcyjnego pełni wojna.

W 1969 r. Sikirycki otrzymał Nagrodę Ministra Kultury i Sztuki ZSRR za twórczość przekładową. Praca translatorska obejmuje pozycje zajmujące poczesne miejsce w dorobku kulturowym narodów radzieckich: „Konik Garbusek" P. Jerszowa, dziewiętnastowiecznego poety rosyjskiego (KiW 1952); S. Michałkowa zbiór bajek i wierszyków „Dla dzieci dużych i małych" (KiW 1952); a przede wszystkim poemat epicki XII-wiecznego poety gruzińskiego Szoty Rustawelego „Witeź w tygrysiej skórze" (NK 1960) oraz epos staroarmeński „Dawid z Sasunu" (NK 1967). Dzięki przekładowi Sikiryckiego dotarły do nas arcydzieła, które postawiły literaturę gruzińską i armeńską w rzędzie klasyki światowej. Należy wysoko ocenić zamysł i trud podjęcia gigantycznej pracy, gdy uwzględnimy znaczenie tych dzieł w literaturze światowej i kulturowe z nią powiązania.

Sikirycki ma jeszcze swoje zasługi w upowszechnianiu współczesnej poezji radzieckiej: wierszy M. Gorbunowa, M. Gribaczewa, W. Koczetkowa, O. Folkiny, M. Tanka i W. Nikołajewa. Tłumaczy także dawnych i współczesnych liryków gruzińskich i armeńskich. Ostatnio sięgnął nawet po wiersze F. Preszerena dziewiętnastowiecznego poety słoweńskiego. Przekłady Sikiryckiego wyróżniają się lekkością wiersza, swobodą językową i piękną polszczyzną, co wielokrotnie było podkreślane przez krytyków. Warto dodać, że pisarz jest w Związku Radzieckim cenionym autorem. Jego utwory często zamieszczane są w wydawanych tam antologiach poezji polskiej.

W bieżącym roku obchodzi Igor Sikirycki trzydziestolecie swojej pracy literackiej. W obrębie tego czasu zamknięty został dorobek o pomnażanych stale wartościach, uwieńczony w 1973 r. nagrodą literacką Łodzi za całokształt twórczości.

MARIA E. SAJENCZUK

REPORTAŻ

Dalszy ciąg ze str. 1

chunkach, które płacę jeszcze od czasu do czasu z tytułu jakichś zaległości, ani o tym, że wbrew oficjalnemu pismu **Dyrektora Okręgu Poczty i Telekomunikacji**, obiecującemu mi **PRZENIESIENIE** telefonu, **Urząd Telefonów Miejscowych** (mający kopię tego pisma) korzystając z mojej nieobecności w kraju zabrał z rąk mojej żony mój własny aparat.

Dość!

Nie jestem wyjątkiem. Nie chcę biadolić. Po prostu — jak każdy aktywnie żyjący a pozbawiony telefonu człowiek — muszę korzystać codziennie z tak zwanych automatów. No i w tym momencie...

Właśnie! W tym momencie zaczyna się już nasza **WSPÓLNA, SPOŁECZNA, OGÓLNOŁÓDZKA** sprawa, zaczyna się granda w biały dzień, o której spieszę powiadomić władze miasta i Szanownego Ministra Łączności.

Z automatami w Łodzi jest dno! Nie chodzi o to, że ich mało, tylko że z reguły są zepsute — wybebeszone, zdezelowane, głuche, że kradną z powodzeniem nasz czas, nerwy i pieniądze, że — być może — są przyczyną przedwczesnych zgonów, rozbuchanych pożarów i nie zażegnanych w porę awantur, rzadko bowiem uda się komuś błyskawicznie zaalarmować z automatu Pogotowie, Straż Pożarną czy Milicję.

W przedostatnią niedzielę czerwca wyszedłem w południe z domu, żeby załatwić telefonicznie pewną sprawę służbową i szybko wrócić do pisania. Udałem się oczywiście, do budki najbliższej, usytuowanej przy ulicy Thälmanna. Przed paroma tygodniami pokazaliśmy przecież w „Odgłosach" zdjęcie tej budki z przepastnym dziurskiem zamiast tarczy, byłem więc przekonany, że aparat został zreperowany. Pomyliłem się. Dziursko w dalszym ciągu zionie, nikt nie zareagował na krytykę prasową: ani w formie listu do redakcji, ani — co byłoby właściwsze — czynem dobrej woli. Ruszyłem więc w stronę ulicy Wróblewskiego, gdzie w odległości stu pięćdziesięciu metrów od siebie tkwią dwie inne budy. Pod obiema stało kilka zaaferowanych osób w różnym wieku, obserwując beznadziejne wysiłki tych, którzy akurat próbowali złapać połączenie, gibając się z nogi na nogę za brudnym, od lat nie czyszczonym szkłem.

— **Nie ma sygnału** — powiedział mężczyzna w wieku emerytalnym i skierował kroki do tej drugiej budki, skąd paru niepoprawnych optymistów przechodziło właśnie, klnąc i złorzecząc, do tej pierwszej, przy czym powtarzali:

— **Nie ma sygnału, nie ma sygnału...**

Każdy chciał, rzecz jasna, osobiście sprawdzić, czy nie ma sygnału, każdy liczył w głębi ducha, że jemu jakoś się uda, że będzie miał szczęście. Ja też miałem tę bezsensowną nadzieję. Odstałem więc swoje, spróbowałem. A potem ruszyłem w kierunku ulicy Małgorzaty Fornalskiej, Poczta wprawdzie była nieczynna, zresztą wiele automatów pocztowych też odznacza się notoryczną głuchotą (urzędniczki twierdzą, że to nie ich sprawa, i pewnie mają rację), ale obok Ośrodka Zdrowia mieści się na uboczu bardzo przyjemna, ukryta przed oczami ludzi buda. Żadnej kolejki tam nie było. Poczułem przypływ otuchy i lekkie, właściwe hazardzistom podniecenie. Zdjąłem słuchawkę z widełek, wrzuciwszy przedtem złotówkę. Był sygnał. Po wykręceniu numeru po drugiej stronie odezwał się głos człowieka, który od piętnastu minut czekał na moje sprawozdanie. Odezwał się, ale w chwili, kiedy moloch pożarł złocisza, zaległo nagle grobowe milczenie.

Oczywiście! Wbrew przepisom stuknąłem w automat pięścią. W takich wypadkach liczymy przecież na cud. Może coś zaskoczy? Może odzyskamy przynajmniej monetę? Gdzie tam!

Rozmieniłem w kiosku pięć złotych i udałem się na Dworzec Kaliski. Buda milczała jak pień. Nie byłem specjalnie zdziwiony, ponieważ milczy już tak od kilku miesięcy,

ANDRZEJ MAKOWIECKI

AUTOMATYCZNA SIELANKA TELEFONICZNA

podobnie zresztą, jak automat zawieszony na ścianie tamtejszego Urzędu Pocztowego, który w niedziele jest nieczynny.

Czując, jak wzbiera we mnie zła krew, wsiadłem w tramwaj i podjechałem do rogu Gdańskiej i Andrzeja, gdzie sterczy bardzo przyzwoita buda. Już niejednokrotnie udało mi się złapać stamtąd połączenie, szczególnie na numery od czterech wzwyż. Tego dnia jednak sprzysięgły się na mnie wszystkie moce piekielne... Był sygnał, ale po wykręceniu numeru nie było połączenia. Złotówka za każdym puknięciem w widełki zgrabnie wyskakiwała do miseczki: żadnego złodziejstwa; ale również żadnego efektu... Nie pomogło leciutkie dmuchanie w membranę, nie poskutkowało walenie pięścią w skrzynię.

Moje opóźnienie wzrosło już do pięćdziesięciu minut. Zacząłem więc gonić w piętkę. Wskoczyłem bez biletu w „dwadzieścia cztery" i wysiadłem przy Kościuszki, gdzie, mniej więcej naprzeciwko Balatonu, obok kiosku Ruchu, stoją aż trzy kabiny. Przenosiłem się z jednej do drugiej, podobnie zresztą, jak kilku innych amatorów telefonicznego szaleństwa. Pani z kiosku patrzyła na nas rozszerzonymi oczami, a my biegaliśmy, kręciliśmy, stukaliśmy, bluźniliśmy, dzieląc się między innymi takimi refleksjami:

— **Wczoraj jeszcze było w porządku.**

— **Panie, padać zaczęło; telefony nie lubią deszczu.**

— **Żeby tak machery od automatów pobiegali trochę po mieście i spróbowali podzwonić.**

— **Machery telefony mają w domu; nie muszą biegać.**

— **Daj pan piątkę, to ja panu załatwię, że też pan będziesz miał w domu. Dzisiaj pieniądze, jutro kują ścianę i ciągną kabel. Ekspres...**

— **Tak jest. Znam kobitę, co pośredniczy.**

— **Panie, ale ja mam żonę w szpitalu, muszę się dodzwonić.**

Wpadłem jeszcze do Spatifu, gdzie w szatni jest zgrabny automacik, tego dnia jednak szatnia była nieczynna...

Czwartego lipca w godzinach południowych złożyłem wizytę dyrektorowi Urzędu Telefonów. To znaczy: chciałem złożyć wizytę, chciałem zadać mu parę kłopotliwych pytań, chciałem oskarżyć go o niechlujstwo, skandaliczne zaniedbania w pracy, całkowitą znieczulicę społeczną, brak najmniejszej wyobraźni co do roli, jaką spełniają, a raczej powinny spełniać w milionowym, pełnym konfliktów mieście urządzenia telefoniczne. I tu spotkała mnie niespodzianka. Nie ma dyrektora. Nie, bynajmniej nie na urlopie... Nie ma i już nie będzie. Od pierwszego lipca przeszedł na inne stanowisko. Uciekł spod gradu pytań i zarzutów. Owszem, jest jego zastępca, dyrektor Romanowski, a także jego następca... Ale następca i zastępca nie są w swoim przekonaniu odpowiedzialni. Tym bardziej, że za budy i automaty poza naczelnym odpowiada przecież dyrektor Nowakowski, a jego (na urlopie) także nie ma.

Tak czy owak dialog:

— Ile jest w Łodzi automatów?

— **Sześćset.**

— A kabin telefonicznych?

— **Około dwustu.**

— Dlaczego tak trudno uzyskać z nich połączenie?

— **W dni powszednie, pomiędzy godziną ósmą a piętnastą centrala jest bardzo przeciążona...**

— A w dni świąteczne? — I mówię o swojej niedzielnej gehennie.

Potem:

— Kto zajmuje się automatami i kabinami?

Odpowiedź jest szokująca. Zajmują się nimi trzy wyspecjalizowane zespoły ludzi. Po pierwsze — załoga monterska, która rzekomo codziennie dokonuje szczegółowej kontroli wszystkich automatów. Po drugie — brygada o profilu ślusarsko-stolarskim, która dba o szyby, zawiasy, półki itd. Po trzecie — spółdzielnia „Czystość", która na mocy umowy z Urzędem Telefonów zobowiązana jest utrzymać kabiny w stanie porządku: myć okna, sprzątać podłogi, ścierać kurze z aparatu...

Sielanka. Pytam wszystkich ludzi w mieście: kto widział czyste szyby w budce telefonicznej? Rzecz jasna — nikt! Ale jeśli zapytam: kto widział potłuczone okna, połamane zawiasy, poprzerywane sznury — każdy widział. Każdy zna w swojej dzielnicy kilka budek, które zioną zgrozą i z których dodzwonić się można tylko do Pana Boga.

No pewnie, że nie szanuje się u nas mienia społecznego. Pewnie, że trafiają się chuligani, pijacy, wandale. Pewnie, że trudno utrzymać budki w idealnym stanie. Ale, z drugiej strony, beztroska Urzędu Telefonów też jest zdumiewająca...

— Jak to się stało, że dwa i pół miesiąca temu zamieściliśmy w „Odgłosach" zdjęcie wybebeszonej budki na Retkini, która, notabene, bardzo na brak telefonów cierpi, i nikt do tej pory nie raczył kiwnąć w tej sprawie palcem? Może „Odgłosy" nie dotarły do Urzędu Telefonów?

— **Chwileczkę, zaraz sprawdzimy...**

Okazuje się, że dotarły.

Więc czym, wobec tego, zajmują się wyspecjalizowane brygady monterskie? Ponoć codziennie sprawdzają stan techniczny aparatów?...

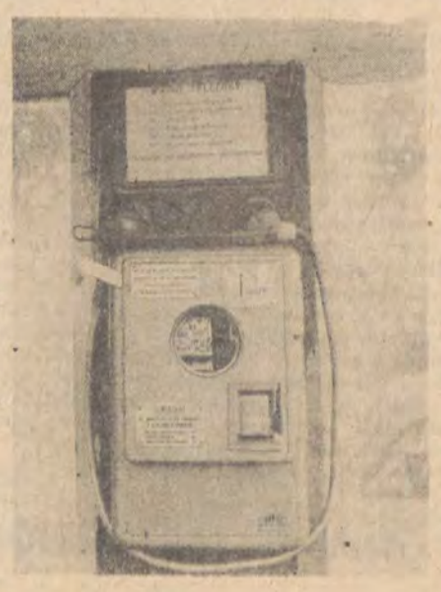

Fot. WŁODZIMIERZ PARYS

Zresztą, żeby nie było nieporozumień — nie chodzi nam tylko o budę na Retkini, nie chodzi nam także o zdezelowane aparaty na klatkach schodowych. Takie aparaty i kabiny są na Górnej, Widzewie, Bałutach, w Śródmieściu, w kinach, urzędach pocztowych, blokach... Nie zdziwię się, jeśli na skutek interwencji prasowej wyremontuje się automaty w pobliżu dziennikarskich domów. Ale to nie załatwi sprawy. Nie bijemy się o własne wygody, tylko o interes społeczny. Z automatów w sprawach gardłowych korzysta całe miasto. I wszystkie automaty powinny być sprawne. Od ich sprawności — powtarzam to jeszcze raz — zależy często życie ludzkie. Za ich sprawność ktoś bierze przecież, do cholery, ciężkie pieniądze...

Redakcyjny kolega powiedział:

— **Jak to napiszesz, założą ci telefon w roku 1999...**

Trudno.

Nie ponaglałem dotąd Urzędu Telefonów w swojej sprawie. Żyłem z telefonem przez dwadzieścia lat; nasyciłem się; więcej miałem z nim kłopotów niż radości — płochy sen, nagłe konferencje, wyjazdy, interwencje, anonimowe pogróżki; nie mam zamiaru toczyć o telefon krwawych bojów, choć nie wykluczone, że zmusi mnie do tego redakcja...

Tak czy siak automaty, z których tak często zmuszony jestem korzystać, stają się od tej pory przedmiotem mojej bacznej uwagi i troski. Nie wykluczone, że jeszcze nieraz będę miał okazję o nich pisać.

P.S.

Dyrekcja Urzędu Telefonów Miejscowych wyjaśniła, że kabina telefoniczna przy ulicy Thälmanna jest nieczynna w związku z robotami budowlanymi w tym rejonie. Niektóre części automatu zostały wymontowane z uwagi na brak części zamiennych. Sama budka zostanie przeniesiona w najbliższym czasie w inne miejsce.

Tymczasem w niedzielę 13 lipca, już po złożeniu artykułu w drukarni, reporter stwierdził, że:

W dalszym ciągu zepsute są trzy automaty przy zbiegu Al. Kościuszki z ulicą A. Struga oraz przy zbiegu A. Struga z Gdańską.

Nieczynny jest automat przy Związku Literatów Polskich (Mickiewicza 8), na Placu Barlickiego, przy ul. Piotrkowskiej (przy Egzotycznej i przy Zrzeszeniu Studentów Polskich). Biorąc pod uwagę, że w innych rejonach miasta nie prowadziliśmy poszukiwań, stan telefonów ulicznych nadal wydaje się zastraszający.

HIPOTEZY (XX)

ERICH von DÄNIKEN

PYTANIA...

Czyżby zewnętrzne oznaki wielowiekowych tradycji były źle rozumiane na przestrzeni ostatnich tysiącleci? Czy nasze próby interpretacji szły w niewłaściwym kierunku?

Czyśmy uczynili to, co zawsze było i ciągle jeszcze jest przed naszymi oczyma bardziej skomplikowane, niż jest ono w rzeczywistości?

Czy proste objaśnienia mające służyć celom praktycznym i technicznym zostały opacznie zinterpretowane jako tajemnice religijne i filozoficzne?

Czy tradycje zebrane w mitach i przekazach religijnych mają w rzeczywistości być dużo mniej tajemnicze a bardziej praktyczne niż przez tysiąclecia wierzono?

Czy przyjdzie czas, że dowiemy się, co nieliczne zachowane relikty ludzkiej prehistorii mają nam do powiedzenia, zanim ostatecznie zniszczą je buldożery?

Kiedy archeologowie uczynią długi na kilometr wykop przez skały piaskowca zwane Extern Stones w lesie Teutoburger?

Kiedy zakrojona na szeroką skalę ekspedycja będzie mogła robić wykopy w tajemniczych okolicach Marib? Kiedy poczyni się podwodne badania nad promieniowaniem w Morzu Martwym, z użyciem nowoczesnej aparatury?

Kiedy archeologowie odsłonią wierzchnią warstwę ziemi w Tiahuanaco, aby można się było dowiedzieć jakie tajemnice się poć nią kryją?

Jak długo jeszcze muszą idealiści-amatorzy toczyć walkę o wydarcie dżungli ruin w Gwatemali i Hondurasie?

Czy jakaś organizacja międzynarodowa, na przykład UNESCO, zdecyduje się, by skatalogować tysiące rysunków skalnych rozrzuconych po całym świecie?

Czyż nie jest możliwe, że klucze do królestwa niebieskiego ukryte są w wielu miejscach.

Czy byliśmy dotknięci ślepotą przez tysiące lat?

Dawni „bogowie" mówili nam zawsze, że jesteśmy głusi i ślepi lecz że kiedyś poznamy prawdę. Być może popełniliśmy błąd interpretując pojęcie „niebo" jako miejsce niekończącej się szczęśliwości? Być może „niebo" znaczyło po prostu „wszechświat"?

Czy „bogowie" spodziewają się, że skoro mieszkańcy Ziemi poznają, co to przestrzeń kosmiczna, utracą poczucie przynależności do określonej grupy ludzkiej i będą uważali kosmos za wszechogarniającą ojczyznę?

Z perspektywy wszechświata wszyscy ludzie będą po prostu mieszkańcami trzeciej planety krążącej wokół małego Słońca na skraju galaktyki.

Myślę, że choćby dla tego jedynego powodu jest naszym obowiązkiem zbadać z wielką uwagą zarówno na pozór fantastyczne interpretacje starych tekstów jak i dowody materjalne wyryte na skałach. Gdy poznamy wiedzę pozostawioną nam przez „bogów", przestaniemy obawiać się spotkania z istotami z innych planet, ponieważ będziemy wiedzieli, że istoty te mają z nami coś wspólnego: oni także byli stwarzani w jakimś momencie czasowym.

Opracował:
B. KRAKOWIAN

POSŁOWIE

Książka Ericha von Dänikena „Bogowie z kosmosu", której obszerne fragmenty właśnie skończyliśmy drukować, jest jego drugą z kolei pozycją dotyczącą tego samego tematu. Książka, której oryginalny niemiecki tytuł brzmi „Zurück zu den Sternen" (Z powrotem do gwiazd) ma się niedługo ukazać w języku polskim nakładem Wydawnictwa Literackiego w Krakowie. Sądząc po powodzeniu pierwszej książki tego autorta — „Wspomnienia z przeszłości" — można się spodziewać, że i ta pozycja zostanie przyjęta z zadowoleniem przez czytelników.

Tajemnicy sukcesu książek Dänikena należy, jak się wydaje, szukać w tym, ze stawia on pytania dotyczące spraw, co do których ciekawość ludzka nigdy do końca nie została zaspokojona, a także w tym, iż odpowiedzi, których sam udziela, obalają wiele tradycyjnych sądów i stają się źródłem niepokoju i poszukiwań.

Można z Dänikenem nie zgadzać się, można się na niego oburzać, dopatrywać się naginania niektórych faktów do jego hipotez, można... Można wiele jeszcze innych rzeczy lecz nie można obok jego wywodów przejść obojętnie. Trzeba go także podziwiać za odwagę i konsekwencję z jaką głosi swoje poglądy. Minęły wprawdzie czasy, w których można było spłynąć żywcem na stosie za głoszenie rzeczy które zdawały się przeczyć zdrowemu rozsądkowi, jak na przykład to, że Ziemia krąży dookoła Słońca, niemniej nie każdy zechciałby tak wystawić się na ataki ze wszystkich stron jak to zrobił właśnie Däniken.

Czytelników, których zafrapowały tematy poruszane w dwu pierwszych książkach tego autora ucieszy zapewne wiadomość, iż zamierzamy wkrótce przedstawić fragmenty trzeciej książki Ericha von Dänikena zatytułowanej „Złoto bogów" (The Gold of the Gods") zawierającej dalsze rewelacyjne dowody na poparcie jego hipotez. Książka ta ukazała się stosunkowo niedawno, bo w roku 1972.

B.K.

HISTORIA OBYCZAJÓW

MIŁOŚĆ I POLITYKA

Dalszy ciąg ze str. 6

Wielkim Księstwem Litewskim, wpływać na sprawy całego państwa. Barbarę traktowali jako atut w tym przysłowiowo pokerowym planie, przynętę, przy pomocy której postanowili ostatecznie omotać młodego króla.

W roku 1547 krok po kroku realizowali swój plan. W pewnym momencie poczuli się nagle drażliwi na punkcie rodowego honoru, oświadczyli, iż traktowanie Barbary jako kochanki, nałożnicy królewskiej przynosi im ujmę, dyshonor, że nazwisko ich jest obnoszone, oplotkowywane. Zmiana ta była dość raptowna, zaskoczony i bez wątpienia zdziwiony nagłymi skrupułami braci król usłyszał następnie prośby. Bracia pragnęli, by władca zerwał wszelkie intymne stosunki z Barbarą i zaprzestał u niej sekretnych wizyt. Zygmunt August wyraził zgodę, przyrzekł zerwać z kochanką i jest pewne, że przez jakiś czas przestał u niej bywać.

Decyzja ta może się wydać dziwna. Istnieją jednak poszlaki, że król w tym czasie (maj-czerwiec 1547) rzeczywiście zaczął rozważać, czy nie zerwać dotychczasowego związku. Przemawiały za tym pewne racje, m. in. niechętne stanowisko wobec tego romansu, jakie zajmowali rodzice, większość dygnitarzy koronnych, znaczna część opinii nie tylko polskiej lecz i zagranicznej. Zygmunt August nie był osobą prywatną, był przecież już faktycznym Wielkim Księciem Litewskim i następcą tronu w Polsce, musiał liczyć się z opinią oraz interesami dynastii i państwa. Już w tym okresie znajdował się pod pewną presją, z wielu stron domagano się od niego, by zerwał z Radziwiłłówną, wyzwolił się z okazywanej jej uległości. W tym kontekście przeciwstawienie się braci wojewodziny nie było najważniejsze, jest rzeczą pewną, że mógł kontynuować romans wbrew ich woli. Barbara była mu przecież przychylna, a jego wielkoksiążęca władza pozwalała na lekceważenie oporu poddanych, nawet jeśli to byli Radziwiłłowie. Znając panujące obyczaje można być pewnym, że nikt, prócz koterii radziwiłłowskiej, nie podniósłby wrzawy z tego względu, że Wielki Książę zabawia się z płochą wojewodziną. Na jego decyzję wpłynęły raczej wiadomości i argumenty nadchodzące z dalekiego Krakowa.

Przypuszczam, że w tych miesiącach myślał poważnie o innych planach matrymonialnych, może nawet o innych miłośnicach, które będą go inaczej kochały niż Barbara. W domysłach idę dalej, August próbował nawiązać jakiś inny romans, czy miał po prostu jedną i drugą przygodę. Pamiętajmy, że był mężczyzną wielkiego temperamentu erotycznego, miał ledwie 27 lat, wystarczyło jedno skinienie, by w jego łożu znalazła się inna kobieta. Jest oczywiste, że panie litewskie zazdrościły Barbarze i bardzo chętnie zajęłyby jej miejsce. A panie przysłowiowo „lekkiego prowadzenia", których przy dworze było pełno, a rozmaite „amoraty", z usług których nieraz korzystali ówcześni panowie? Pokus było co niemiara. Nie można tuszować całej atmosfery i klimatu obyczajowego, w jakim żył dwór wielkoksiążęcy. Hipoteza ta jest dla Barbary korzystna. Okazało się bowiem, że rywalka nie zdobyła łask króla, nie potrafiła jej zastąpić. Sądzę, że jakaś konfrontacja w sypialni królewskiej musiała mieć wtedy miejsce, że jakaś niewiasta po prostu przegrała w porównaniu, już nie tylko z urodą, lecz umiejętnościami Radziwiłłówny. Można przypuszczać, że inna po prostu tak „nie smakowała". Należy przy tym pamiętać, że król był przecież głęboko zakochany, mógł — powiedzmy otwarcie — spać z inną kobietą, lecz w dalszym ciągu marzył o ukochanej. Pamiętajmy o pluralizmie seksualnym mężczyzn!

D.c.n.

15 LIPCA

„15 lipca 1975 r. o godzinie 15,37 z kosmodromu Bajkonur..." — tak może zaczynać się komunikat agencji TASS o starcie statku kosmicznego „Sojuz" na spotkanie ze statkiem kosmicznym „Apollo". Taki tytuł nadał jednak Jerzy Rakowski książce, która staraniem Krajowej Agencji Wydawniczej ukazała się dosłownie na kilka dni przed tą historyczną datą, przed startem „Sojuza" i „Apolla" do ich spotkania na orbicie.

Jerzy Rakowski jest korespondentem „Sztandaru Młodych" w Moskwie, a także współpracownikiem „Głosu Pracy". Był zatem bliżej przygotowań do kosmicznego spotkania, miał dostęp do informacji z pierwszej ręki. Potrafił informacje te właściwie wykorzystać i — dzięki operatywności KAW — wszyscy zainteresowani wyprawami kosmicznymi w ogóle, a spotkaniem kosmicznym radzieckich i amerykańskich kosmonautów w szczególności, otrzymali do ręki ciekawy i dość obszerny materiał na ten temat.

Jerzy Rakowski nie ograniczył się tylko do spraw związanych z samym kosmicznym spotkaniem. Wyszedł znacznie poza ramy tego tematu, cofnął się w przeszłość, ukazując sporo interesujących faktów z historii kosmicznych wypraw. Przypomniał Konstantego Ciołkowskiego, Siergieja Korolewa — głównego konstruktora statków kosmicznych, Jurija Gagarina — pierwszego człowieka, który wzniósł się w przestrzeń kosmiczną i wielu innych.

Są w publikacji J. Rakowskiego fakty znane, są informacje mniej znane lub przedstawione po raz pierwszy. Wszystko to zostało podane w sposób przejrzysty, interesujący i przystępny. 90-tysięczny nakład powinien zagwarantować, że książka dotrze do tych wszystkich, którzy interesują się sprawami Kosmosu i którzy tymi sprawami dopiero się zainteresują.

A na konto KAW warto wpisać sukces, jakim niewątpliwie jest wydanie książki na czasie, albo ściślej we właściwym czasie. Ciągle jeszcze mało mamy takich publikacji, ciągle ukazują się one grubo po czasie. I choć pochwała brzmi banalnie, jest w całości prawdziwa.

Jerzy Rakowski — „15 lipca 1975 r. o godz. 15,37 z kosmodromu Bajkonur...", Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1975, str. 126, cena: 12,— zł.

„WIELKA KOALICJA"

MON wypuścił na rynek księgarski drugi tom „Wielkiej Koalicji 1941—1945" Włodzimierza T. Kowalskiego. Książka obejmuje rok 1944.

Jest to — jak podkreśla we wstępie autor — historia polityczna roku 1944, rozgrywająca się w sferach dyplomatycznych i na polach bitew. Włodzimierz T. Kowalski miłośników najnowszej historii zainteresował już pierwszym tomem „Wielkiej Koalicji". Pisze barwnie, żywo, starając się oddać atmosferę i warunki, w jakich działy się różne rozgrywki, w jakich planowano wielkie kampanie wojenne i drobne intrygi. Bohaterowie tych czasów przedstawieni są żywo, w sposób naturalny, z wielkim staraniem o zachowanie ich cech naturalnych.

Włodzimierz T. Kowalski zebrał ogromny materiał. Oparł się na dokumentach drugiej wojny światowej na korespondencji z tamtych czasów notatkach i stenogramach rozmów oraz na pamiętnikach. To wszystko pozwoliło pokazać lata drugiej wojny w całym bogactwie, jakie można zmieścić na kartach książki.

Włodzimierz T. Kowalski — „Wielka Koalicja 1941—1945", Wydawnictwo MON, Warszawa 1975, tom II, str. 711, cena: zł 90,—

SZÓSTY „TRAKTAT O DOBREJ ROBOCIE"

Wszystkich zainteresowanych prakseologią, czyli ogólną teorią sprawnego działania, a takich powinno być w kraju wielu, informujemy, że Zakład Narodowy im. Ossolińskich wydał po raz szósty „TRAKTAT O DOBREJ ROBOCIE" Tadeusza Kotarbińskiego.

Szóste wydanie „TRAKTATU O DOBREJ ROBOCIE" ukazało się w płóciennej oprawie, w nakładzie 10 tys. egzemplarzy i w cenie 95 zł. Jest ono — jak stwierdza Tadeusz Kotarbiński w słowie odautorskim — nieznacznie tylko poprawione w stosunku do wydania piątego. Rozszerzona natomiast została znacznie bibliografia.

Tadeusz Kotarbiński — „Traktat o dobrej robocie", wydanie szóste, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wydawnictwo, Wrocław — 1975, str. 552, cena: zł 95,—

DZIEJE RODZINY I ZBRODNI

Nauka coraz ciaśniej zamyka się w wąskich kręgach specjalizacji i coraz rzadziej znajdują się ludzie, którzy potrafiliby zgłębić tajemnice danej specjalności i potrafili przy tym przekazać je laikom. A ludzi interesuje przecież świat i to wszystko, co na nim się dzieje. Interesuje ich nauka, która odkrywa coraz to nowe tajemnice i dokonuje coraz to znakomitszych wynalazków. Co dziwniejsze brakuje popularyzatorów nie tylko techniki, ale i poszczególnych dziedzin humanistyki. Humaniści — co jest największym paradoksem naszych czasów — wbrew istocie tego pojęcia dorobili się własnego języka jakże różnego od tego, którym powszechnie posługują się ludzie i którzy za swój uznała literatura.

Alfred Liebfeld jest chlubnym wyjątkiem. Potrafi pisać o historii w sposób pasjonujący, żywy i barwny. Zajmuje się między innymi wielkimi kapitalistycznymi rodami. Wydał w „Śląsku" książkę pt. „Rockefellerowie — łupieżcy czy filantropi?". Teraz ukazała się kolejna jego książka „Arcykapłani zbrojeń". Jest to historia rodziny Krupnów — przemysłowców i handlarzy bronią. Pokazał ją Alfred Liebfeld w powiązaniu z wieloma wydarzeniami, w kontaktach z władcami państw i innymi handlarzami bronią, a między innymi Bazylim Zacharowem.

Historia rodu Kruppów, ubarwiona szczegółami z ich prywatnego życia, pokazuje wiele mechanizmów, jakie w społeczeństwie kapitalistycznym działały przy narodzinach wojen. Dziś — dzięki innemu układowi sił na świecie, na który poważny wpływ ma obóz socjalistyczny — rody te odgrywają mniejszą rolę. Groźba atomowej zagłady powstrzymuje przed bezwzględnością wielu monopolistycznych rekinów.

Byłoby jednak wielką niesprawiedliwością nazwać Alfreda Liebfelda tylko popularyzatorem historii. W takiej „segregacji" tkwi pogląd, że prawdziwi historycy, to ci którzy piszą dla wybranych i wtajemniczonych. Reszta to popularyzatorzy. Ta reszta umie po prostu barwnie i żywo pisać i znajduje czytelników.

Alfred Liebfeld — „Arcykapłani Zbrojeń", Wydawnictwo „Śląsk", Katowice 1975, str. 562, cena: zł 40,—

INNY WYMIAR

Opowiadania Konrada Fiałkowskiego zebrane w tomie noszącym tytuł „Kosmodrom" należą do gatunku Science Fiction i ich akcja rozgrywa się w dalekiej przyszłości, kiedy już nie tylko podróże kosmiczne staną się rzeczywistością, ale można będzie dokonywać różnych innych rzeczy, dziś jeszcze uważanych za cudowne. Ale — jak stwierdza to sam autor — są to nowele o ludziach, dzisiejszych ludziach, tylko akcja tych nowel rozgrywa się w fantastyczno-naukowych warunkach.

Konrad Fiałkowski postąpił słusznie, przyjmując taką zasadę. Zbudował bowiem warunki, które nie rażą sztucznością, gdyż ludzie, którzy w nich działają są prawdziwi po przez swoje reakcje, odczucia, zachowanie się, sposób myślenia nawet. Uniknął błędu, jaki często popełniają autorzy tego typu literatury, siłący się na stworzenie nie tylko fantastycznych warunków, ale i ludzi przyszłości. Powstają wtedy twory sztuczne, odsłaniające braki autorskiej wyobraźni, nieudolność pisarską i wiele innych grzechów, które można czasem darować w pisaniu o współczesności, ale które całkowicie niweczą wartość SF. Konrad Fiałkowski daleki jest od takich zarzutów. Każde jego opowiadanie tchnie naturalnością, prawdą o ludziach, choć akcja dzieje się w czerwonych piaskach Marsa czy na metalowym pokładzie kosmicznej bazy, zawieszonej nad nieznaną planetą.

„Kosmodrom" ukazał się w serii „Fantastyka — Przygoda" wydawanej przez „Iskry" w jednolitej szacie graficznej i na coraz wyższym poziomie.

L. W.

Konrad Fiałkowski — „Kosmodrom", Iskry, Warszawa 1975, str. 276, cena: zł 15,—

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

NABURMUSZONE WSPOMNIENIA

Pierwsze tomy **„Pół wieku"** były rewelacją. Autorem jest przecież i pisarz znakomity (opowiadania z tomu „Święta kulo" wejdą — lub weszły — do klasyki noweli polskiej) — i działacz polityczny i kulturalny, człowiek który wiele wie i wiele zdziałał...

Im bardziej jednak następuje kurczenie się czasu dzielącego akcję wspomnień od publikacji — wybitny pisarz zaczyna gonić w piętkę. Opowiada o tym jak przeszedł na spinning — jak męczą go różne nudne zebrania — na których jednak nieodmiennie zabiera głos... Opowiada jak niechętnie bierze udział w atrakcyjnych wyjazdach zagranicznych — Chiny, Indie, Kuba, Włochy, Morze Śródziemne...

Bardzo się męczy autor memuarów, kiedy mu zlecają wyjazdy: **„Nie chciało mi się jechać, żeby dali spokój, postawiłem warunek: dobrze ale z Nataszą, która nie widziała wielu krajów będących w planie podróży. Byłem pewny, że skreślą mnie z listy uczestników, aliście (chyba, aliści"?) przyjęto moje warunki...**

No i musiał...

Pierwsze tomy **„Pół wieku"** były rewelacją, dokumentem czasu — subiektywnym i może jednostronnym — ale był to dokument znakomity literacko i poznawczo. Najnowszy tom jest w połowie opowieścią o rybach, w połowie skargą dziecięcia wieku...

Autora ciągle ktoś krzywdzi, ciągle mu ktoś robi świństwa, ciągle ktoś kręci nosem... Nie znam osobiście autora „Pół wieku" — z tej książki jawi mi się obraz człowieka subtelnego, nieśmiałego, pełnego taktu i delikatności.. I tak zapewne jest.

A mimo to jaki zorientowany w wydarzeniach! Notuje w którymś tam miejscu: **„Odys odszedł, przyszedł Ryszard. Zaskoczenie, wszyscy spodziewali się Komnena".**

Nie bardzo wiem jaki jest sens pisać takim szyfrem.

Albo: **„Czekaliśmy na delegację czeską w „Bristolu". Paru pijanych kolegów i koleżanek. Ledwo się od nich odczepiłem".**

Czemu bez nazwisk! Trzeba było podać do publicznej wiadomości nazwiska natrętów! Niestety — takt wziął górę.

A przecież wszystko sprzysięgło się przeciwko autorowi. Jedzie do Mińska i cóż. **„Byłem naburmuszony. W hotelu śniadania mi nie dano..."**

Niestety, zdarza się.

Ale jest w tym zdaniu jakby synteza tomu „Rapanui". Napisana jest ta książka przez człowieka naburmuszonego, bo mu śniadania nie dano. Cała pasja, szeroka perspektywa i oddech pierwszych tomów **„Pół wieku"** — rozpłynęła się w pretensyjkach, wędkarskich obrazkach i naburmuszeniu...

Niestety. A są na stronie 85 słowa: **„Pisarz ze swoją książką zostawał w miejscu. Nie mógł więc udać, że książek nie pisał..."** i tak dalej. Więc może lepiej było poczekać na dystans, na czas? Żeby wybitny pisarz nie zostawał tak właśnie — z książką naburmuszoną i miałką.

WIDOK

LEWYM OKIEM

SPRAWY RÓŻNE

Na Pomorzu i w byłym województwie poznańskim uruchomiono w ostatnich miesiącach wiele pięknych zajazdów, czyli restauracji z pokojami noclegowymi, przeznaczonych dla klientów zmotoryzowanych. Oglądaliśmy te zajazdy w kinach i na obrazkach, bo nie mamy samochodów. Podobne mają powstać w Kieleckiem i na rzeszowszczyźnie. Oczywiście, jesteśmy bardzo uradowani i dumni, że już tylko samochodu nam brak, żeby zjeść jak człowiek.

Jacek Maziarski pisze w „Polityce", że wielkie zakłady przemysłowe i inne poważne instytucje prześcigają się w coraz to lepszym i piękniejszym urządzaniu tak zwanej bazy wypoczynkowej dla swoich pracowników, czyli zamkniętych ośrodków wczasowych. W czasie wolnych sobót i niedziel, w czasie naszych najświeższej daty dwudniowych weekendów, z owych pięknych i kosztownych urządzeń korzystać mogą tylko posiadacze samochodów. Mogą spędzić weekend w pięknym ośrodku nad jeziorem, a po drodze odwiedzić parę fajnych zajazdów, łącząc jedzenie z przyjemnością. My zaś, nie mając samochodów, z wolnym czasem w mieście w ogóle nie mamy co zrobić, jadamy zaś póki co w tradycyjnie szpetnych i niezbyt apetycznych lokalach zbiorowego żywienia, żeby nie rzec: w barach mlecznych. W naszej powszedniej „infrastrukturze" niewiele na razie widać zapowiedzi na głębsze a pilnie potrzebne zmiany.

Po zebraniu wielu ciekawych wypowiedzi od swych czytelników w ramach ankiety „Uczmy się — choćby od diabła", zwróciła się „Polityka" do szeregu instytucji, od których mogłoby zależeć wprowadzenie na naszym gruncie nowinek z zagranicy, referowanych w ankiecie. No i okazało się, że wszystkie te nowinki nam wcale nie imponują, albo że w żaden sposób nie można ich u nas adaptować, albo że tak jak jest — jest bardzo dobrze i lepiej być nie może. Okazało się więc, że zanim zaczniemy się czegoś uczyć, powinniśmy nauczyć się samego uczenia. Tak, jak to potrafili Japończycy, którzy w ciągu kilkudziesięciu lat dogonili i przegonili najbardziej zaawansowane kraje przemysłowe świata. Jeszcze dziś jeżdżą ponoć nader liczne delegacje japońskie i obserwują, dociekają, badają, podglądają. Nasze delegacje też jeżdżą. O wiele liczniej niż z Czechosłowacji lub z Węgier. Oczywiście — nasi wyjeżdżający też potrafią patrzeć i referować, ale ich sprawozdania powielane dziesiątki razy przypina się do akt jako materiał dla późniejszych kontroli. Delegacja musi być spięta ze sprawozdaniem, wtedy sprawa jest załatwiona. A to przecież powinien być początek sprawy!

Pisałem niedawno o deptaniu trawników. Potem spędziłem parę dni w Austrii i zobaczyłem, co można zrobić z każdego metra kwadratowego ziemi w mieście. Co metr — to bukiet kwiatów! Jaka zieleń, jaka trawa, jakie róże! W każdej szparze pomiędzy murami, na każdym podwóreczku. Czy kiedyś tego się nauczymy?

ĆWIEK

PROPOZYCJE

SPOJRZENIE W PRZYSZŁOŚĆ

Odgadywanie przyszłości zawsze było w modzie i stąd bierze się niezwykła popularność wszelkiego rodzaju wróżbitów i przewidywaczy. Ludzie sprytni potrafią w każdych warunkach żerować na ludzkiej lekkomyślności i głupocie. Ale to są zupełnie inne sprawy i nie one mnie interesują. Niech sobie wróżbici i wieszcze przyszłość przewidują. Ich sprawa i tych, którzy im wierzą, płacąc przy tym wcale słono. Mnie interesuje inne zjawisko, rodem z naszej powszedniości, które trudno określić mianem pozytywnego, a które ma sporo wspólnego z wróżeniem z fusów i patrzeniem w szklaną kulę oraz sufit.

Oto wielce szanowna i dostojna DOKP była uprzejma powiadomić swoich PT Klientów, że odwołuje pociągi, które w lipcu i sierpniu miały po dwa razy w miesiącu kursować na linii Łódź Kaliska — Władysławowo i z powrotem. Nie będę powtarzał komunikatu, który można było przeczytać w prasie codziennej, przypomnę tylko, że chodziło o pociągi oznaczone w rozkładzie jazdy nr nr 15322/1 i 51322/1, a także literkami **„WZ"**.

DOKP w Warszawie tłumaczy się PT Pasażerom, że odwołuje te pociągi z **„powodu znikomej frekwencji podróżnych"**. Zupełnie nie wiem na jakiej podstawie **DOKP w Warszawie** ustaliło, jaka będzie frekwencja np. 24/25 lipca 1975 roku oraz jaka będzie frekwencja 8/9 sierpnia 1975 roku? Być może na etacie PKP pracuje wróżbita i on kierownictwu DOKP w Warszawie przedstawił wyniki swojej wizji przyszłości.

Moim skromnym zdaniem **DOKP w Warszawie nie wywiązało się z zobowiązania wobec PT Pasażerów**, a zdanie to opieram na następującym stwierdzeniu. Pociąg nr 15322/1 oraz pociąg nr 51322/1, umieszczone w tabeli **420** pod pozycją **11** w relacji Łódź Kaliska — Władysławowo i pod pozycją **20** w relacji Władysławowo — Łódź Kaliska są oznaczone literkami **„WZ"**. W **„Objaśnieniach znaków i skrótów"** „Rozkładu Jazdy PKP", a więc dokumentu oficjalnego i obowiązującego zarówno PKP, jak i pasażerów, można przeczytać następujące wyjaśnienie dla tego skrótu:

„Pociągi przeznaczone w zasadzie do przewozu podróżnych z zakładów pracy na wczasy zakładowe i z powrotem; pierwszeństwo w nabywaniu biletów i miejscówek (w kasach rezerwowania) do tych pociągów mają zakłady pracy na podstawie zbiorowego zamówienia przedkładanego najwcześniej na 30, a najpóźniej na 7 dni przed odjazdem. Po tym terminie, w miarę wolnych miejsc, bilety i miejscówki mogą nabywać indywidualni podróżni".

Koniec cytatu z oficjalnego dokumentu PKP, który należy traktować jako zobowiązanie tej instytucji w stosunku do PT Pasażerów. **Komunikat DOKP w Warszawie** ukazał się w łódzkich gazetach **8 lipca 1975 roku**. 7 lipca z Władysławowa, a 9 lipca 1975 roku z Łodzi Kaliskiej pociągi już nie odeszły, chociaż zgodnie z zobowiązaniem PKP indywidualni pasażerowie mieli prawo na 7 dni przed ich odejściem kupić bilety. Być może o tym nie wiedzieli, być może zakłady nie wykupiły zbiorowych biletów na te pociągi, ale na jakiej podstawie odwołuje się pociągi np. z 23 lub 24 lipca 1975 roku, skoro dopiero 17 lipca 1975 roku powinno — zgodnie z zobowiązaniem PKP — być wiadomo, ile miejsc zakupiły zakłady pracy, a ile mogą kupić indywidualni pasażerowie? Tylko po co o tym myśleć. Najprościej odwołać, zlikwidować, zamknąć, zatrzymać. PKP byłyby instytucją najszczęśliwszą na świecie, gdyby w ogóle nie posiadały żadnych pociągów. Jestem zupełnie pewien, że jeszcze przez długie lata pracownicy PKP mieliby ręce pełne roboty, w której nie przeszkadzaliby im pasażerowie.

Inny wróżbita zasiadł natomiast w **Wytwórni Wód Gazowanych w Łodzi**, mieszczącej się przy ul. Orlej 4/8. Otóż wróżbita ten opowiedział wysłannikowi **„Expressu Ilustrowanego"**, podpisującemu się **(jami)**, że **„kwestią najbliższych tygodni jest start produkcji „vita-coli" (...) a jeszcze w tym roku na rynku powinien pojawić się fermentowany kwas chlebowy". (jami)** dowiedział się również, że **„Ponadto w planach wytwórni znajdują się takie napoje, jak „orange-cola", „alpina" (...), „tonic" i napój grapefruitowy". A wszystkie te wróżby zatytułowano obiecująco: „NA LETNIE UPAŁY — 90 tys. butelek na dobę — Nowości: „alpina", „tonic", „orange-cola" i „vita-cola".** Być może **(jami)** ma kontakty jeszcze z innym wróżbitą, który powiedział mu, że w tym roku upały będą trwały do końca grudnia, gdyż inaczej rewelacje Wytwórni Wód Gazowanych okażą się niewypałem.

Podejrzewam jednak, że ktoś tu kogoś nabił w butelkę. I to moje podejrzenie kieruje się w stronę **Wytwórni Wód Gazowanych.** Do **(jami)** natomiast nie mam pretensji, że dał się nabrać na lep słów, ale o to tylko, że powtarza bezmyślnie „rewelacje", które na dodatek opatruje wprowadzającym w błąd tytułem. Nie są to bowiem napoje **„NA LETNIE UPAŁY"**, a na jesienne i zimowe chłody.

Spoglądanie w przyszłość kwitnie u nas bujnie i temu zajęciu oddają się ludzie, którzy z racji swoich społecznych i zawodowych funkcji powinni trzymać się przede wszystkim konkretów i realiów.

MARCIN RODAK

SPORT

CZYJE GRZECHY?

Wszyscy już dawno zgodzili się co do tego, że sport jest zjawiskiem społecznym, że jest formą społecznej działalności. I jako taki podlega ocenie i krytyce, tak jak ocenie i krytyce podlega całe nasze życie społeczne. Ale w życiu są dziedziny budzące większe zainteresowanie i te podlegają ostrzejszym ocenom. Niewątpliwie należy do nich sport.

Dziennikarstwo jest też jedną z form społecznej aktywności, a współczesne dziennikarstwo staje się coraz bardziej specjalistyczne. A jako przejaw życia społecznego podlega również ocenom i krytyce. Nic więc dziwnego, że francuscy dziennikarze, członkowie Union Syndicale des Journalistes Sportifs de France (Związku Zawodowego Dziennikarzy Sportowych Francji) dokonali własnej oceny i sporządzili raport o stanie dziennikarstwa sportowego, ukazując je w rozwoju historycznym i całej współczesnej złożoności. Nie dziwię się też, że „Kultura" opublikowała niektóre fragmenty tego raportu, jako że polskiego odpowiednika — jak na razie — u nas brakuje.

Francuscy dziennikarze sportowi zarzucają sobie — traktując ich raport w dużym uproszczeniu i odsyłając zainteresowanych do tekstu „Kultury" — „grzech szowinizmu", „grzechy stylistyczne", „grzech stosunków koleżeńskich" ze sportowcami i działaczami sportowymi oraz „grzech niedoceniania kontekstu politycznego i społecznego". Niektóre z tych grzechów — pamiętając stale o różnych warunkach politycznych i społecznych jakie dzielą Francję i Polskę — nie są obce i naszemu dziennikarstwu sportowemu. Myślę, że dziennikarze sportowi powinni być zadowoleni z tego, że za pośrednictwem „Kultury" tekst ten dotarł do polskiego czytelnika. Okazało się jednak, że nie wszyscy.

Wojciech Filipiak, w stałym felietonie „Głosu Robotniczego" noszącym tytuł „Dziury w całym", wyraził niezadowolenie z tego faktu, zarzucając przy okazji „tygodnikom społeczno-literackim", że „zdecydowana większość z nich zajmuje się „aferami", a w wypadku sukcesu niebezpiecznie winduje w górę mistrzów i rekordzistów". Tę zdecydowaną większość stanowią — sądząc po cytowanych przykładach — „Kultura", „Polityka" oraz łódzkie „Odgłosy".

Muszę się przyznać, że nie bardzo rozumiem, o co chodzi Wojciechowi Filipiakowi. Wypomina on „Kulturze", że „rozdmuchała sprawę Fortuny, kiedy już „nie było sprawy", przeinaczając przy tym fakty". „Polityce" — że pisała „co jada na obiad dziadek Szarmacha" oraz że „pełna dobrych chęci typowała Kazimierza Górskiego do dorocznej nagrody". „Odgłosom" — że „usiłowały zrobić trenera LKS Pawła Kowalskiego „łodzianinem roku". „A nie rozumiem dlatego, że w sporcie niestety jest znacznie więcej „spraw", o których nie pisały ani tygodniki społeczno-kulturalne, ani pisma sportowe, natomiast nie przypuszczam, aby Wojciech Filipiak uważał, że Kazimierz Górski nie zasłużył sobie na to, aby być kandydatem do nagrody „Polityki".

„Funkcja, którą nazwaliśmy mianem „prezenterskiej" — pisze Wojciech Lipoński w szkicu „Sztuka sportowa jako zjawisko społeczne", opublikowanym w książce „Sport w społeczeństwie współczesnym" — polega, najogólniej rzecz biorąc na rozszerzeniu społecznego zasięgu i znaczenia sportu przez ukazywanie sukcesów poszczególnych jednostek, publiczne ich prezentowanie, a tym samym stwarzanie wzorców osobowych i zachęcanie do ich naśladownictwa. Produktem ubocznym bywał zazwyczaj społeczny prestiż osób zwyciężających w igrzyskach, niekiedy wręcz swoisty „mit", nimb niezwykłości".

Przyznaję, że w stosunku do niektórych osób zbyt optymistycznie prezentowano ich sukcesy, ale to nie znaczy, że winę za to ponosi tylko „kolega" czyli prasa tygodniowa, kulturalno-społeczna. Myślę, że winą tej prasy jest to, że zbyt mało zajmuje się negatywnymi zjawiskami sportu, co w pewnej mierze można odnieść też do prasy sportowej. Trzeba jednak na zjawiska społeczne patrzeć realnie i nie obciążać wspólnymi błędami tylko jednej strony.

Mogłabym się wprawdzie domyślać, że Wojciech Filipiak sugeruje swoim felietonem, że od spraw sportu wara innym, że jest to domena pism wyłącznie sportowych. Pisze on bowiem:

„Przegląd Sportowy", „Sport", „Sportowiec" i inne gazety sportowe, też mogą oczywiście zacząć pisać o pijaństwie wśród aktorów, o naciskach finansowych na tego czy innego reżysera..."

Nie śmiem jednak wyciągać takiego wniosku, gdyż sam na wstępie swego felietonu przyznaje prawo tygodnikom społeczno-kulturalnym do zajmowania się sportem jako jedną z dziedzin życia społecznego. O co więc chodzi?

Byłoby jedno tylko wytłumaczenie. Po prostu Wojciech Filipiak obraził się za publikację „Kultury", traktując ją jako aluzję pod adresem polskiego dziennikarstwa sportowego. Ale takie wytłumaczenie jest dla mnie nie do przyjęcia. Wojciech Filipiak nie jest przecież eteryczną panienką i nie reaguje chyba obrażeniem się na rzeczowe argumenty. Dlatego nadal nic nie rozumiem, niestety.

BOGDA MADEJ

OBYCZAJE

KONRAD TUROWSKI

WESTERN NA TEOFILOWIE

Dalszy ciąg ze str. 1

Opanowanym tonem zwracał się do kogoś, kto był wyżej, na półpiętrze. Pani Z. obserwowała milicjanta. Umożliwiał to jej „judasz" w drzwiach mieszkania. Pierwszy raz naprawdę się przydał. Na schodach paliło się światło. Gdy gasło, milicjant zaraz przyciskał włącznik automatu. Był sam. Jeszcze raz więc uchyliła drzwi. Zapytała go czy zadzwonić po MO. Przy oknie na półpiętrze spostrzegła dwóch młodych ludzi. Zauważyła, że mają broń. Jeden był w czerwonej kurtce. Bała się im baczniej przyglądać. Ledwie zerknęła i znów skryła się w cieniu swego przedpokoju.

Milicjant przytaknął jej skinieniem głowy. Zamknęła drzwi i chciała telefonować, ale usłyszała już syreny alarmowe nadjeżdżających radiowozów.

Rychło cała okolica zaroiła się funkcjonariuszami MO w hełmach i z bronią maszynową. Sprowadzono silne reflektory, które skierowano na czwarte piętro, gdzie przebywali oblegani. Wezwano też straż pożarną z drabinami mechanicznymi oraz karetki Pogotowia Ratunkowego...

Na klatce schodowej wciąż był ten sam milicjant, w zwykłej czapce służbowej. Miał naszyte trzy „belki". Był młody. Nie ustawał w swoich prośbach, by oblegani zaniechali oporu i oddali się w ręce władz. Używał najrozmaitszych argumentów. Ani razu jednak nie podniósł głosu. Zdawało się, że niewiele wskórał. Tyle, że nie kierowali już w jego stronę broni. Może doszło do nich, że wykonujący swoje obowiązki służbowe funkcjonariusz jest ojcem dwojga dzieci. Mówił im, że pod opieką matki czekają na jego powrót do domu...

Oblegani swobodnie usiedli na parapecie okna klatki schodowej. Nogi opuścili na zewnątrz. Zagrozili, że jeżeli ktokolwiek zechce się zbliżyć, skoczą w dół. Najwyraźniej imponowało im, że są przedmiotem takiego zainteresowania nie tylko organów porządkowych, ale wszystkich okolicznych mieszkańców, którzy trwali w oknach, na balkonach, a nawet wchodzili na dachy, by lepiej wszystko obserwować...

Wzruszeniem ramion kwitowali kierowane do nich z całą powagą przez wzmacniacze żądania:

— Obywatele! Poddajcie się, nie macie żadnych szans...

Kazali przyprowadzić znajomą dziewczynę. Odszukano ją pod wskazanym adresem. Nie chciała jednak z nimi rozmawiać, nawet z bezpiecznej odległości. Wyparła się znajomości. Ale pomogła w identyfikacji. Sprowadzono ich rodziców. W odpowiedzili na prośby matki i ojca posypali epitety, których lepiej zaoszczędzić. Zrozpaczona matka jednego z nich doznała szoku...

Milicjant, którego pani Z. wciąż obserwowała, nie tracił nadziei, że uda mu się perswazją nakłonić obleganych do zrezygnowania z oporu. Zauważyła, że za nim stoi jeszcze dwóch, równie młodych, funkcjonariuszy. Ale tylko ten jeden prowadził dialog z przestępcami. Pytali go, jaka kara im grozi, chcieli wiedzieć, czy od razu będą przewiezieni do zakładu karnego na Sikawie. Zadawali jeszcze dziesiątki innych, zgoła naiwnych pytań. Milicjant starał się odpowiadać. Podkreślał, że ich postawa będzie miała decydujące znaczenie przy wymierzaniu kary przez sąd. Tłumaczył, że są młodzi i jeszcze mogą swoje błędy naprawić, jeżeli nie zaprzepaszczą szansy...

Dwie godziny minęły, nim podyktowali swoje ostateczne warunki. Zażądali podania kajdanków. Chcieli się sami skuć, chcieli być nierozłączni. Do aresztu miał ich odprowadzić milicjant, który z nimi rozmawiał. Traktowali go jako gwaranta swoich żądań. Zyskał wreszcie przewagę, potrafił wzbudzić potrzebne zaufanie.

Pani Z., jedyny bezpośredni świadek pełnych napięcia wydarzeń zauważyła jeszcze jak milicjant rzucił kajdanki do góry. Chyba ktoś je chwycił, bo nie było słychać, by upadły na posadzkę. Minęła jeszcze chwila i wtedy nastąpiła eksplozja, a wszystko zakrył dym...

To z góry, z półpiętra rzucono do stojących w pobliżu drzwi mieszkania pani Z. funkcjonariuszy MO fuzję myśliwską, tzw. szesnastkę, nie zabezpieczoną i nabitą pociskami liczącymi po około 250 sztuk drobnego śrutu każdy. Uderzając o posadzkę wypaliła. Śrut rozprysnął się wachlarzem na wysokości kolan dorosłego człowieka. Na szczęście dla pani Z. strzał poszedł w przeciwnym kierunku niż drzwi, przy których stała. W sześciu miejscach przebił na wylot płytę pilśniową drzwi sąsiadów mieszkających naprzeciw. Akurat nie było ich w domu. Dotkliwie też poranił trzech milicjantów. Pani Z. widziała przez okno jak milicjanta, którego obserwowała, zabierano do karetki Pogotowia Ratunkowego...

* * *

18-letni **Bogdan R.** nigdzie nie uczył się ani nie pracował. Miał jak najgorszą opinię. Jeszcze przed ukończeniem 18 lat zapisał na swoim koncie kilka przestępstw kryminalnych. Stał się żywą ilustracją przysłowia o jabłku i jabłoni. O jego domu rodzinnym trudno powiedzieć cokolwiek dobrego...

Kilka dni wcześniej poszedł do mieszkania Kazimiery K., kwiaciarki sprzed jednego z łódzkich cmentarzy. Wiedział, że trzyma w domu oszczędności. Wykorzystując nieobecność kobiety namówił jej 11-letniego syna, by pokazał mu książkę, w której matka przechowuje pieniądze. Powiedział chłopcu, że weźmie tylko tyle, ile potrzeba na kupno motoroweru. Rzekomo trafiała mu się okazja. Ponieważ matka kiedyś obiecywała, że kupi motorower, mały uważał swoje postępowanie za najzupełniej normalne. Znał przecież Bogdana R. Nie podejrzewał, że chce wyzyskać jego naiwność. Bez wahania zdjął z antresoli książkę z banknotami ułożonymi między kartkami. Była to powieść Karola Maya „Winetou". Kupił ją starszy brat. Lubi czytać książki przygodowe. „Winetou" przeczytał kilka razy aż odłożył na bok, a matka uznała, że książka będzie dobrą skarbonką...

Bogdan R. wybierał banknoty bez umiaru. Aż mały się zorientował, że wziął znacznie więcej niż miał kosztować motorower. Wyrwał książkę z resztą pieniędzy i włożył z powrotem na swoje miejsce.

Bogdan R. zagroził chłopcu, że jeśli poskarży matce, to on nigdy pieniędzy nie zwróci i nie kupi motoroweru. Wyszedł z mieszkania kwiaciarki z 24 tysiącami złotych w kieszeni. W książce zostało tylko 6 tysięcy złotych...

Przez najbliższe dni zabawiał się za zrabowane pieniądze. Kupował wino i papierosy. Nabył też m.in. modną kurtkę czerwoną z ortalionu...

Nie minął jednak tydzień, jak syn Kazimiery K. przyszedł do niego i powiedział, żeby zwrócił pieniądze, bo matka wszystko wykryła i złożyła skargę w komisariacie.

Oszust nie miał już pieniędzy. Postanowił tedy zastraszyć kwiaciarkę. Miał mu w tym pomóc **Grzegorz S.**, którego kiedyś namówił do ucieczki z domu. Obaj znali 17-letnią Ewę, wiedzieli, że jej ojciec jest myśliwym. Raz byli u niej w domu. Pokazywała im sztucer i fuzję. Broń wyjęła z szafy z garderobą. Pamiętali, że ojca dziewczyny często nie ma w domu, bo przebywa na swojej działce pod Łodzią...

Bogdan R. i Grzegorz S. wspólnie ułożyli plan zdobycia broni. Pierwszy miał zająć Ewę rozmową, a drugi dostać się do pokoju, otworzyć szafę, wyjąć sztucer i fuzję, a następnie wyrzucić na trawnik przed oknem.

Gdy zapukali do mieszkania myśliwego na drugim piętrze, drzwi im otworzyła 12-letnia córka. Była sama w domu. Realizacja planu poszła więc łatwiej niż się spodziewali. Zrabowali też 150 sztuk amunicji, dwa noże myśliwskie i fajkę.

Uzbrojeni poszli wprost do mieszkania Kazimiery K. Bogdan R. chciał ją sterroryzować, by odwołała swoją skargę złożoną na posterunku. Sądził, że widok broni i groźba jej użycia skłoni kwiaciarkę do spełnienia jego żądania.

Pod drzwiami mieszkania na parterze stanęli z bronią jakby naszykowaną do strzału. Bogdan R. nacisnął dzwonek. Otworzyła Kazimiera K. W jednej chwili poznała go, spostrzegła broń i natychmiast na powrót zatrzasnęła drzwi. Wystraszyła się nie na żarty, ale ani myślała otwierać. Mocniej zaryglowała zamki i na wszelki wypadek zgasiła światło.

Prześladowcy widząc, że niczego nie wskórają, odstąpili od drzwi. Nie bardzo wiedzieli, co dalej robić. W głowach trochę szumiało im wino, które wcześniej wypili dla kurażu. Niewiele się namyślając, zaczęli strzelać na chybił-trafił. Do nikogo ani do niczego nie celowali umyślnie. Żadnej szkody właściwie tą strzelaniną nie wyrządzili. Może sprawił to po trosze zbieg okoliczności. Sztucer bowiem, typu „Mauser" zaciął się już przy próbie oddania pierwszego strzału. Nie potrafili sobie poradzić z zamkiem. Porzucili go i strzelali już tylko z fuzji, którą nabijali pociskami śrutowymi przeznaczonymi na kuropatwy i inną płową zwierzynę...

Widzieli gasnące w oknach bloków światła, jedne po drugich. Spostrzegli zaintrygowane twarze mieszkańców Teofilowa, wypatrujących w ciemnościach, kto zakłóca ciszę należną im po całym dniu pracy. Czuli się ważni. Do czasu, gdy spotkali funkcjonariuszy MO. Na wezwanie do oddania broni, rzucili się do ucieczki. Na próżno. Okolica była już penetrowana przez inne patrole. Zdecydowali się więc na desperacki krok. Wpadli do pierwszej z brzegu klatki schodowej i wbiegli na górę, by zagrać główne role w westernie, jakiego jeszcze kroniki milicyjne nie notowały...

Bogdan R. i Grzegorz S. zostali aresztowani. Będą odpowiadali przed sądem, który oceni ich postępowanie i wymierzy odpowiednie kary. Grzegorz S. skorzysta z podyktowanego humanitaryzmem przywileju prawnego. W momencie opisywanych czynów brakowało mu pięć dni do uzyskania pełnoletności. Swoje 18 urodziny obchodził już w areszcie, odizolowany od społeczeństwa, którego spokój i bezpieczeństwo naruszył wspólnie z Bogdanem R.

* * *

Ojcu Ewy zwrócono fuzję i sztucer oraz część naboi. Do szafy, w której przechowuje broń myśliwską, dorobił zamek. Kwiaciarka przełożyła swoje oszczędności do innej książki. Ranni funkcjonariusze MO opuścili szpital. Jeden z nich, właśnie ten, o którym najwięcej opowiadała pani Z., ma w nodze trzy śruty. Dwa lekarze wyjęli, ale trzy wbiły się w mięśnie tak głęboko, że wydobycie ich uznali za zbyt ryzykowne dla zachowania sprawności nogi. Podejmą się operacji, jeśli będzie bezwzględnie konieczna.

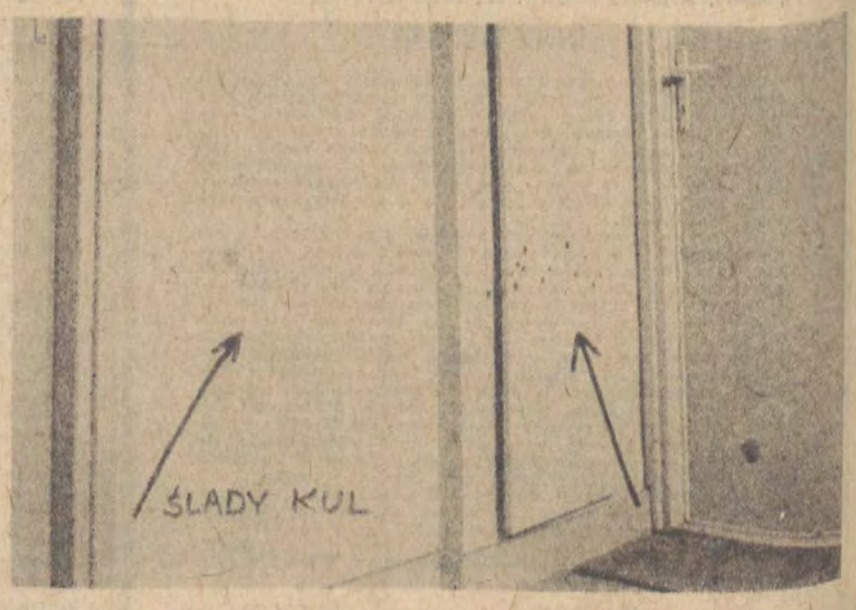

Zdjęcia wykonał:
WŁODZIMIERZ PARYS

ŚWIAT • POLITYKA • WYDARZENIA • KOMENTARZE

U PRZYJACIÓŁ

Komunikat w prasie brzmiał: „Za wielkie zasługi dla rozwoju radzieckiej sztuki muzycznej kompozytor Wasilij Sołowiew-Siedoj odznaczony został tytułem bohatera pracy socjalistycznej, otrzymując jednocześnie Order Lenina oraz złoty medal „Sierp i Młot".

Uzdolnienie muzyczne Sołowiew wykazał już w młodzieńczych latach, zdobywając w kółkach amatorskich sławę improwizatora-samouka. Potem przyszło Konserwatorium, którego abiturient pod pseudonimem Wasilij Siedoj stworzył pierwszy duży utwór, mianowicie balet „Taras Bulba".

W następnych latach powstało kilka operetek. Przed wojną kompozytor odnalazł swój właściwy gatunek — pieśń. Powstała wówczas pieśń „Śmierć Czapajewa", która znalazła się w śpiewniku Brygad Międzynarodowych w Hiszpanii. W czasie II wojny światowej stworzył wiele utworów. Wtedy powstały także słynne utwory „Wieczór na redzie" oraz „Słowiki". Nie bez znaczenia był fakt współuczestnictwa w powstawaniu tych piosenek poetów tej miary, co Dołmatowski, Issakowski czy Lebiediew-Kumacz.

Sołowiew-Siedoj często nawiązuje do okresu Wielkiej Wojny Narodowej, czego przykładem jest m.in. „Ballada o żołnierzu". Tworzy również nowe, melodyjne piosenki popularne wśród młodzieży i dorosłych, opowiadające o dniu dzisiejszym.

Pieśni Sołowiewa-Siedoja nazywane są nie bez racji „emocjonalną kroniką" życia pokolenia, które przeszło próbę wojny.

* ✦ *

24 czerwca 1945 na Placu Czerwonym w Moskwie, kiedy zegar na Wieży Spasskiej wybijał godzinę 10, z bramy wyjechał z adiutantem marszałek Żukow, by przyjąć meldunek o gotowości wojsk do przeglądu i parady. Rozpoczęła się defilada wojskowa, najbardziej uroczysta, najbardziej oczekiwana, która przeszła do historii jako Parada Zwycięstwa. Udział w niej wzięli żołnierze wszystkich pułków walczący na frontach II wojny światowej.

Na środku placu na wprost Mauzoleum Lenina i głównej trybuny stanęli również Polacy — jedyni przedstawiciele wojsk walczących u boku Armii Czerwonej. Była to reprezentacja liczebnie niewielka, zaledwie 24 żołnierzy i 6 generałów, ale przecież jej obecność świadczyła o udziale naszego narodu w walce z hitlerowskim faszyzmem. A „Prawda" tak pisała: „„Obecność w dniu dzisiejszym na Placu Czerwonym 20 sztandarów Wojska Polskiego, owianych wskrzeszoną sławą odrodzonej Polski, jest symbolem potężnej i nierozerwalnej przyjaźni, która odtąd łączy narody Związku Radzieckiego i demokratycznej Polski".

O Paradzie Zwycięstwa powstał film dokumentalny zrealizowany przez reżysera Włodzimierza Dusiewicza według scenariusza Rajmunda Kulińskiego w Wytwórni Filmowej „Czołówka".

* ✦ *

W związku z 75 rocznicą urodzin Leona Kruczkowskiego, prasa radziecka poświęciła wiele miejsca percepcji dzieł pisarza w ZSRR. Zarówno jego utwory prozatorskie, jak i dramatyczne cieszą się w Związku Radzieckim wielkim uznaniem i szerokim zainteresowaniem — pisze B. Rostocki w „Sowietskiej Literaturze". — Dobitnym potwierdzeniem tego uznania dla Kruczkowskiego — pisarza, wybitnego działacza społecznego i politycznego było przyznanie mu Międzynarodowej Nagrody Leninowskiej „Za utrwalanie pokoju między narodami".

Pióro dramaturga było dla Kruczkowskiego przede wszystkim orężem walki — walki przeciwko faszyzmowi, przeciwko reakcji, przeciwko imperializmowi, o zwycięstwo i ugruntowanie idei socjalizmu. Dlatego też sztuka sceniczna, będąca jego zdaniem bezpośrednim odbiciem i wcieleniem tej walki, tak mocno pociągała pisarza.

Utwory dramatyczne Kruczkowskiego, których pochód przez sceny radzieckie rozpoczął się szereg lat temu i nieprzerwanie trwa do dziś, jest najlepszym potwierdzeniem ich nieprzemijających wartości, potwierdza również aktualność zawartych w nich myśli.

Już I Festiwal Sztuk Polskich w ZSRR w 1965 roku odbył się pod znakiem twórczości Kruczkowskiego. Wśród zespołów, które sięgnęły wówczas do dorobku tego autora, były najlepsze sceny moskiewskie — MCHAT („Odwety") i Teatr Mały („Przygoda z Vaterlandem"). A jeszcze wcześniej mieszkańcy Moskwy obejrzeli „Pierwszy dzień wolności" w Teatrze im. Stanisławskiego i „Niemców" w Teatrze im. Wachtangowa. Również i II Festiwal Dramaturgii Polskiej (1970) potwierdził, że zainteresowanie twórczością Kruczkowskiego bynajmniej nie słabnie. Na scenie MCHAT-u wystawiono „Pierwszy dzień wolności", a następnie w teatrach Aschabadu, Duszambe i innych miast. W nowosybirskim teatrze odbyła się premiera „Przygody z Vaterlandem", a „Odwety" grane były w sześciu miastach radzieckich.

KSIĄŻKA BEZ BIAŁYCH PLAM

WYZNANIE AGENTA

Centralna Agencja Wywiadowcza usiłuje za wszelką cenę nie dopuszczać do publikacji materiałów, rzucających niekorzystne światło na jej działalność zarówno wewnątrz USA, jak i poza ich granicami. Mimo to liczne fakty tej działalności przenikają na łamy prasy.

W Anglii ukazała się niedawno książka o działalności CIA o tyle ciekawa, że jej autor przez szereg lat był jej pracownikiem. Recenzja tej książki znalazła się na łamach paryskiego wydania „International Herald Tribune", a napisał ją także były współpracownik jednej z zagranicznych filii CIA.

Kiedy Wiktor Marchetti napisał książkę „CIA i kult wywiadu", Centralna Agencja Wywiadowcza postanowiła usunąć z niej 339 ustępów. Sąd zaakceptował tę decyzję, ale tylko odnośnie 168 cięć i książka ukazała się na półkach księgarń z intrygującymi lukami w tych miejscach, które CIA uznała za niebezpieczne.

W książce Filipa Edgy pt. „W pewnej kompanii: dziennik CIA", która właśnie ukazała się w Anglii, nie ma białych plam. W tej demaskatorskiej książce, nasyconej mnóstwem szczegółów, cytuje się nazwiska pracowników CIA, wszyskich agentów, z którymi zetknął się Edgy „w pewnej kompanii" na przestrzeni dwunastu lat swojej pracy w CIA w Ekwadorze, Urugwaju, Meksyku i Waszyngtonie.

Dyrektor CIA, William Colbey, powiadomił niedawno jedną z podkomisji Kongresu, że zamiar nie dopuścić do ukazania się tej książki w Stanach Zjednoczonych. Zagroził ponadto, że jeśli opublikowane w książce Edgy'ego informacje przyniosą szkodę interesom Stanów Zjednoczonych, to nie wykluczone, iż pociągnie on autora książki do odpowiedzialności sądowej. Natomiast Edgy ma nadzieję, że jego książka ukaże się jednak w całości w Stanach Zjednoczonych i wówczas powróci on do kraju.

Ale powracając do rzeczy. Otóż, o ile Marchetti stara się przekonać czytelnika o konieczności zreformowania CIA przyznając, iż odeszła ona od swoich statutowych założeń, o tyle Edgy stawia przed sobą inny cel: uważa, że ta wywiadowcza instytucja powinna w ogóle zaprzestać swej działalności.

CIA udało się zatrzymać książkę Marchettiego, a następnie poddać ją cenzurze. Edgy ominął CIA publikując książkę w Anglii w wydawnictwie „Pingwin". I dziś można ją nabyć w wielu krajach świata, w których używa się języka angielskiego, z wyjątkiem Stanów Zjednoczonych. Na okładce książki widnieje zdjęcie maszyny do pisania z urządzeniem podsłuchowym, które, jak przypuszcza Edgy, wmontowała do maszyny CIA w czasie, gdy pracował nad książką.

Po odbyciu służby wojskowej w stopniu oficera lotnictwa oraz przeszkoleniu w specjalnej jednostce CIA, Edgy w końcu 1960 roku przybył do stolicy Ekwadoru — Quito, gdzie brał aktywny udział w „świętej wojnie" przeciwko komunizmowi. Przekupywał działaczy politycznych i dziennikarzy, podrabiał dokumenty, podsłuchiwał rozmowy telefoniczne i przeglądał cudzą korespondencję. Dowiedział się wówczas, że pewien przekupiony senator w Ekwadorze, który otrzymywał miesięczne wynagrodzenie z CIA w wysokości 700 dolarów, zażądał wynagrodzenia 1000 dolarów, kiedy został prezydentem.

W owych latach praca CIA w Ekwadorze polegała na osłabianiu działalności sił lewicowych oraz dążeniu do izolacji Kuby przez zmuszenie Ekwadoru do zerwania z nią stosunków dyplomatycznych. Zmierzając do osiągnięcia tych celów, CIA starała się przeniknąć do wszystkich ugrupowań politycznych w tym kraju drogą przekupstwa, inspirowania i popierania wszelkich rozruchów i demonstracji, którym towarzyszyły starcia i walki uliczne. Odniosło w nich rany wielu ludzi. W wyniku tej działalności CIA upadły dwa cywilne rządy, ale cel został osiągnięty: Ekwador zerwał stosunki dyplomatyczne z Kubą.

Edgy opuścił Ekwador w 1963 roku przeświadczony o konieczności przeprowadzenia tam niezbędnych reform socjalnych. Był on wówczas przekonany, że „operacje CIA sprzyjają ustabilizowaniu sytuacji w kraju, że CIA, zwalczając działalność sił lewicowych, okazuje pomoc miejscowym organom władzy państwowej i umacnia ich bezpieczeństwo".

„Realizując takie programy — pisze Edgy w swej książce — wygrywamy czas dla zaprzyjaźnionych rządów, żeby mogły wprowadzić w życie reformy, likwidujące te wszystkie niesprawiedliwości, na których wyrasta komunizm"...

A jeśli zaprzyjaźnione rządy nie są w ogóle zainteresowane w przeprowadzeniu podobnych reform? A jeśli zaprzyjaźnione rządy w ogóle nie chcą pomocy CIA? Takie i tym podobne pytania nie zaprzątały wówczas autora książki.

Następnym miejscem pobytu Edgy'ego była stolica Urugwaju — Montevideo. Pracował tam trzy lata. CIA — jak pisze Edgy — zajmowała się w Urugwaju umacnianiem sprzedajnego, do gruntu przegniłego rządu, pomagając mu w tłumieniu szerokiego i wciąż narastającego ruchu demokratycznego, który opowiadał się za wprowadzeniem radykalnych reform socjalnych. W dążeniu do „demokratyzacji" CIA wciągnęła do polityki wojsko. Dziś w Urugwaju rządzą wojskowi ponad głową nominalnego prezydenta państwa. Kongres został rozwiązany. Wolność prasy nie istnieje. Nie wprowadza się żadnych reform.

Właśnie tutaj, w Urugwaju, Edgy zaczął się głębiej zastanawiać nad swoją pracą, nad tym, czym się w istocie zajmuje. Któregoś dnia siedział w gabinecie naczelnika policji. Piętro wyżej rozlegały się krzyki torturowanego mężczyzny. W miarę, jak krzyk narastał, naczelnik komisariatu policji coraz głośniej nastawiał radio, przez które nadawano reportaż z meczu piłki nożnej. Później dowiedział się Edgy, że torturowano wtedy komunistę, którego nazwisko podał policji kilka dni wcześniej.

Ale, jak się wydaje, jeszcze bardziej wyprowadził go z równowagi inny fakt. Edgy nie mógł się pogodzić z interwencją wojsk amerykańskich w Republice Dominikany, na polecenie ówczesnego prezydenta Stanów Zjednoczonych, Lyndona Johnsona.

„Nie chodzi o to, że jestem przeciwnikiem interwencji w ogóle — pisze w swej książce — ponieważ wszystko, co robię, w takim czy innym stopniu, jest interwencją w wewnętrzne sprawy innych krajów. Być może, że byłem zaszokowany tak wielką skalą tej interwencji"...

Interwencja ta skłoniła go do zastanowienia się nad całą działalnością CIA w Ameryce Łacińskiej. Wydawało się, że działania przeciwko powstańcom zahamowały zagrożenie komunistyczne. Ale gdzie są reformy?

„Im więcej myślę o interwencji w Domnikanie — pisze Edgy — tym bardziej zaczynam wątpić, czy politycy w Waszyngtonie rzeczywiście chcą reform demokratycznych w Ameryce Łacińskiej".. W tym czasie Edgy zaczął już poważnie myśleć o wycofaniu się z pracy w CIA.

W 1966 roku przeniesiono go do centralnego aparatu w Waszyngtonie. Praca biurowa znudziła go bardzo szybko, skorzystał więc z nadarzającej się okazji i w 1967 roku wyjechał do Meksyku, pod „firmą" attaché ambasady z zadaniem rozpoczęcia przygotowań do Igrzysk Olimpijskich w 1968 roku. Jego zadanie w Meksyku polegało nie tyle na kontrolowaniu działalności tamtejszej agentury CIA i kierowaniu jej operacjami, ile na organizowaniu spotkań i nawiązywaniu kontaktów z ludźmi z różnych środowisk. Zaraz po zamknięciu Igrzysk Olimpijskich Edgy zakończył swoją karierę w CIA. Podał się do dymisji w przekonaniu, iż dotychczasowa praca „przekształciła go w sługusa kapitalizmu, a kapitalizm odrzucał", będąc jeszcze studentem.

„Stałem się jednym z tajnych policjantów kapitalizmu — pisze o sobie Edgy. — W ostatecznym rachunku CIA nie jest niczym innym, jak tylko tajną policją amerykańskiego kapitalizmu, która dniem i nocą zatyka szczeliny w politycznej tamie, dbając o to, by posiadacze akcji amerykańskich kompanii przemysłowych, działających w biednych krajach mogli nadal wyciskać z nich zyski."

Dwa lata zastanawiał się Edgy, jak napisać taką książkę, żeby opowiedzieć w niej wszystko, co wie o CIA. Postanowił bowiem nie tylko zdemaskować Centralną Agencję Informacyjną, lecz także skutecznie działać przeciwko tej instytucji: „Uważałem również za niezbędne znalezienie sposobu na zdobycie możliwie najszerszych informacji o CIA oraz przekazanie ich organizacjom rewolucyjnym, żeby mogły je wykorzystać w przygotowywaniu samoobrony" Ostatnie trzy lata spędził w Zachodniej Europie, pracując nad książką i starając się nie znaleźć w polu widzenia CIA.

Ukazanie się książki Edgy'ego akurat w momencie, kiedy kilka komisji w Waszyngtonie prowadzi śledztwo w sprawie działalności CIA, jest rzuceniem rękawicy tej instytucji i na wyniki tego starcia oczekuje się w USA z ogromnym zainteresowaniem. Edgy opublikował książkę w której możliwie najszerzej opisał to wszystko, czym zajmuje się CIA poza granicami Stanów Zjednoczonych. Każdy rozdział tej bardzo interesującej pracy ukazuje politykę USA w Ameryce Łacińskiej jako pajęczą sieć oszustw, hipokryzji i korupcji. Edgy wymienia w książce dziesiątki nazwisk i operacji CIA w Ameryce Łacińskiej. Jego książka ukazała się w Anglii i w Kanadzie. Z pewnych enuncjacji prasowych wynika, że CIA była zmuszona odwołać wielu swoich pracowników z zachodniej półkuli, kiedy okazało się, że ich nazwiska zostały podane do publicznej wiadomości w książce Edgy'ego.

Opracował:
JERZY CZECH

■ ZACHĘCAJĄCY PRZYKŁAD Z KOSMOSU
■ 30 LIPCA W HELSINKACH
■ POLSKA – WIELKA BRYTANIA
■ KRYZYS RZĄDOWY W PORTUGALII

Zakończone powodzeniem **wspólne przedsięwzięcie radziecko-amerykańskie w kosmosie,** o którego politycznej funkcji pisaliśmy przed tygodniem, śledzone było z uwagą przez cały świat. Komentatorzy podkreślają jego znaczenie dla przyszłości pokojowego współistnienia. Jeśli tak ścisła współpraca możliwa jest w kosmosie — tym bardziej powinna mieć ona miejsce na ziemi. Oto główny ton większości publikacji. Lot „Sojuza" i „Apolla" i ich połączenie się na orbicie jest uwieńczeniem porozumień, zawartych między Związkiem Radzieckim i Stanami Zjednoczonymi, jednym z ich sprawdzianów.

Równie dobre nadzieje wiąże się z **trzecią fazą Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, której termin ostatecznie ustalono na 30 lipca.** Szefowie państw i rządów spotkają się w Helsinkach, aby przyjąć przez wiele miesięcy dyskutowane i redagowane dokumenty końcowe. Pomyślne zbliżenie się do finału konferencji 35 państw uznać trzeba za największe wydarzenie kontynentu europejskiego i zachęcający przykład dla innych kontynentów. Nie powinno być przeszkód, aby zasady pokojowej współpracy w Europie rozciągnięte zostały na cały świat.

Chcemy wierzyć, że wyniki Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie wywrą także dodatni wpływ na **przebieg wiedeńskich rokowań na temat wzajemnej redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w środkowej części naszego kontynentu.** Właśnie zakończyła się VI i ostatnia przed wakacjami runda rozmów. Do porozumienia 19 państw jeszcze daleko, ale atmosfera dyskusji i chęć jak najlepszego poznania stanowisk otwierają możliwości pokonania trudności i uczynienia postępu. Coraz powszechniejsze jest przecież przekonanie, że odprężenie polityczne powinno być uzupełnione militarnym.

Kolejnym krokiem na drodze do współpracy państw o różnych systemach politycznych i społecznych, a więc pogłębienia procesów odprężeniowych, są **rezultaty rozmów w Warszawie brytyjskiego ministra Spraw Zagranicznych — Jamesa Callaghana.** Od ub. roku, kiedy to w Londynie z oficjalną wizytą przebywał min. S. Olszowski, stosunki polsko-brytyjskie znacznie się ożywiły. Podpisana zaś obecnie Deklaracja o Rozwoju Przyjaznych Stosunków otwiera nową kartę. W dokumencie zwraca uwagę nawiązywanie do Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, wybieganie w przyszłość, dążenie do rozwinięcia wzajemnych stosunków na zasadach obustronnych korzyści, gotowość konsultowania ważnych problemów.

Z kosmosu i centrum Europy przenieśmy się na jej krawędź — **do Portugalii.** Przed tygodniem sygnalizowaliśmy złożoność sytuacji w tym kraju, teraz chcemy pisać o **kryzysie rządowym.** Zaistniał on w momencie, kiedy socjaliści i ludowi demokraci wystąpili z koalicji. W chwili, kiedy przygotowujemy komentarz do druku premier Vasco Goncalves przystąpił do sformowania nowego gabinetu.

Kwietniowe wybory w Portugalii przyniosły zwycięstwo siłom lewicy. Jednakże nie jest ona jednolita. **Konieczność pośpiesznego odrabiania zaległości kraju i formułowanie programu rozwoju rodzą dyskusje i kontrowersje.** Opublikowany w końcu czerwca plan działania ruchu sił zbrojnych, który określa siebie jako „ponadpartyjny ruch wyzwolenia narodu" wyznacza cel, do którego powinna zmierzać Portugalia. Jest nim: niezawisłość kraju, „wewnętrzna dekolonizacja" i budowa społeczeństwa bezklasowego. Osiągać się to będzie stopniowo, przez rozszerzanie reform, tworzenie nowej administracji, walkę z zadawnionymi schorzeniami... M.in. zapowiedziano powoływanie terenowych przedstawicielstw ludowych. Ale ten np. punkt zakwestionowała partia ludowo-demokratyczna, domagając się przeprowadzenia wyborów samorządowych. Postulat uznano za niemożliwy do spełnienia w chwili obecnej i — jak pisaliśmy powyżej — partia wycofała swych przedstawicieli z rządu.

Z doniesień z Lizbony wynika, że kierownictwo ruchu sił zbrojnych nie zamierza burzyć pomostów do ewentaualnego porozumienia z partiami, które wystąpiły teraz z koalicji, ponieważ Portugalii najbardziej potrzebna jest jedność działania. Ale też nie pójdzie na kompromis, który mógłby osłabić programowe cele.

Ścieranie się różnych kierunków i poglądów w kraju zaledwie zaczynającym nowe życie jest zrozumiałe — chodzi przecież w ostatecznym rarunku o kształt rewolucji portugalskiej. Gorzej, że te starcia mogą być wodą na młyn prawicy, która nie złożyła broni i rada by cofnąć koło historii.

WITOLD SŁAWSKI

LISTY Z KOLONII

Dziś publikujemy listy Piotra N. (lat 13) i Kamila T. (lat 11).

KOCHANA MAMO!

Podróż minęła szczęśliwie. Po drodze zwiedziliśmy z zewnątrz zamek w Pieskowej Skale, Maczugę Herkulesa, Bramę Krakowską. U kresu podróży zderzyliśmy się z drzewem. Ofiar w ludziach nie było. Jest tu wesoło szczególnie o 4.00 rano. Żywność smaczna. Pozdrawiam wszystkich.

Piotr

LISTY Z OBOZU HARCERSKIEGO

Podróż była bardzo fajna, przejeżdżaliśmy przez Zgierz, Łęczycę, Włocławek, Toruń, Bydgoszcz i Świecie. Za Zgierzem i pod Świeciem mieliśmy przerwę (pokazały się pierwsze jagody). Przed i za Toruniem były piękne jeziora. W Gdańsku zbłądziliśmy, ale za to widziałem jak budują Port Północny. Tu jest bardzo klawo. Mieszkamy w lesie pod namiotami (klawo się śpi). Mam 6 kumpli. Stanowimy zastęp. W moim zastępie jest Mirek (ten który siedział koło mnie w autobusie). I przez Wisłę w Gdańsku płynęliśmy promem. Jadłem już loda za 2 zł.

Całuję mocno
druh Piotr

KOCHANA MAMO!

Dziś dostałem twój list (tak długo czekałem). U nas lało i leje, w nocy jest mi ciepło, na piżamę zakładam czasem spodnie. Stałem na warcie od 4.00 do 8.00 i od 10.00 do 11.00. Zmieniły się drużyny. Naszym druży-

nowym jest druh Bogusław. Drużyna nazywa się „Parasole" i liczy 16 osób. W naszym namiocie jest ze mną 5 chłopaków. Właściwie promem nie płynąłem tylko mój autobus, a my szliśmy wąskim mostem. Wczoraj wieczorem był „alarm plecakowy" czyli taki, że my musieliśmy zapakować wszystko (z wyjątkiem koca i prześcieradła) w plecak i jak najszybciej ustawić się na placu apelowym. Zjadłem kilka lodów. Jestem zdrowy i czuję się dobrze. Zaczęli sprawdzać czystość w namiotach. Mój namiot ma następujące oceny: 3, 4, 4. Dwa dni temu napisałem pocztówkę do dziadka i babci.

Całuję cię
Piotruś

P.S. Mamo, przyślij mi w liście jednego „Donalda". Tu nie można dostać.

Piotr

DROGA MAMO!!

Jest tu bardzo dobrze. Nie jest za zimno i czuję się dobrze. Mamy tu półki. Nic mi nie brakuje. Tęsknię za Wami, nie obraźcie się, ale prawie nie mam kiedy pisać, tylko na ciszy poobiedniej.

Drogi Tato!!
Jest tu świetnie. Jak będzie źle, a nie uważam, to napiszę.

Drodzy Rodzice!!
Pierwszego dnia byliśmy nad morzem Mówię Wam, fajnie szumi. Wziąłem kalosze i ledwie co wszedłem na plażę zalało mi kalosze. Żegnam Was, paaaaa!!!!!
Nasz namiot ma taką nazwę „Dzięcielinki" i „Krasnoludki". Na tym kończę i idę na kolację. Powtórne paaaaa!!!

Kamil

30 czerwca 1975 r.

Fot. Włodzimierz Parys

WATERGATE (V)

Fot. Archiwum

ANDRZEJ BLAJER

POCZĄTEK KOŃCA

Zbliżało się lato 1973 roku. Sytuacja prezydenta i jego współpracowników stawała się coraz bardziej poważna. Od 17 maja, niezależnie od zespołu sędziowskiego pod przewodnictwem sędziego Sirici, którego zadaniem było zbadanie kryminalnych aspektów afery Watergate, rozpoczęła działalność specjalna komisja senacka, celem której z kolei miało być wyjaśnienie ogólnego podłoża sprawy. Na jej czele stanął 76-letni senator demokratyczny z Północnej Karoliny Sam Ervin. Aby wreszcie ostatecznie rozproszyć wszelkie niejasności, jakie kryła w sobie afera Watergate powołano jeszcze trzecią instancję, wyznaczono mianowicie urząd specjalnego prokuratora do prowadzenia śledztwa w imieniu Ministerstwa Sprawiedliwości. Stanowisko to powierzono 18 maja 1973 r. byłem wiceministrowi sprawiedliwości Archibaldowi Coxowi. Na biurkach i w szafach wszystkich trzech instancji prowadzących dochodzenie zaczęły szybko gromadzić się góry dokumentów zawierających zarzuty i ich dementi, krzywoprzysięstwa, oskarżenia i zapewnienia o niewinności.

Postronnemu obserwatorowi mogło się wydawać, iż już samo przejrzenie tego ogromu materiału przekracza ludzkie możliwości, a przecież ludzie prowadzący śledztwo muszą na jego podstawie zadecydować o czyjejś winie lub niewinności. Tylko protokóły komisji Ervina liczyły około 7 tysięcy stron. Decyzje nie mogły być przy tym pochopne, w grę wchodziła przecież niebagatelna kwestia roli i udziału w aferze osoby prezydenta. Wszystkie zarzuty musiały być więc bardzo starannie i szczegółowo sprawdzone.

Od chwili rozpoczęcia prac przez wszystkie komisje wciąż pojawiały się konkretne zarzuty kierowane pod adresem Nixona, iż wiedział on o całej aferze i to bezpośrednio po dokonaniu włamania do Watergate, oraz że od tego momentu podejmował stałe wysiłki w celu zatuszowania tej sprawy. Mimo iż wiele z tych zarzutów potwierdziło się w toku dochodzenia, do połowy lipca 1973 roku wydawało się, że będzie bardzo trudno udowodnić winę prezydentowi. Wiedziały o tym doskonale wszystkie trzy komisje, zdawał sobie również z tego doskonale sprawę sam Nixon, składając wciąż publiczne oświadczenia, w których zaprzeczał, iż uczynił cokolwiek niewłaściwego. Materiału dowodowego świadczącego o niewątpliwej winie Nixona było już sporo, ale wciąż za mało, aby Kongres mógł go oskarżyć o niewłaściwe sprawowanie funkcji prezydenta.

Ale oto 16 lipca zdarzyło się coś co w decydującej mierze zaważyło na dalszych losach śledztwa. Tego dnia bowiem niespodziewane zeznanie złożył były współpracownik Haldemana, Alexander Butterfield., Oświadczył on komisji senackiej, że w 1970 roku Nixon powierzył mu jako odpowiedzialnemu za sprawy bezpieczeństwa w Białym Domu pewną szczególną misję. Polegała ona na zainstalowaniu elektronicznych urządzeń podsłuchowych, które rejestrowały na taśmach automatycznie uruchamianych magnetofonów, wszystkie rozmowy prezydenta. Urządzenia te założono w jego gabinetach zarówno w Białym Domu jak i w Camp David, przy czym podłączono je również do wszystkich aparatów telefonicznych, z których korzystał Nixon. Znaczenie tych taśm dla prowadzących śledztwo komisji było zatem ogromne. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że mogą one rzucić światło na wiele spraw spornych, a między innymi na treść rozmów, które, jak powiedział przed komisją Ervina John Dean, skłoniły go do przeświadczenia, że prezydent od początku wiedział o próbach zatuszowania skutków afery Watergate. Dowodzą tego chociażby tylko cytowane już poprzednio fragmenty tych rozmów, a było ich przecież bardzo, bardzo wiele. Dlatego też, aby poznać prawdę, zarówno komisja senacka jak i specjalny prokurator Cox, a także sędzia Sirica dążą do uzyskania tych taśm poprzez nakazy prawne i akcje sądowe. Prezydent jednak nieodmiennie odrzucał ten postulat, powołując się na „przywilej prezydencki" i utrzymując, że ujawnienie treści poufnych rozmów prezydenta wyrządzi szkodę procesowi podejmowania decyzji przez szefa władzy wykonawczej.

Tak wyglądała sytuacja na początku sierpnia 1973 roku. „Tricky Dick" widząc czarne chmury gromadzące się nad jego głową postanowił za wszelką cenę odwrócić uwagę społeczeństwa od Watergate. Wykorzystał więc w tym celu trzy następujące wydarzenia:

Pierwszym była afera, w której nowy szef FBI Clarence M. Kelley miał przejść swój chrzest bojowy, co jednak udało mu się tylko w połowie.

„W Nowym Orleanie wykryto spisek w celu zamordowania prezydenta Nixona" — wiadomość tej treści obiegła lotem błyskawicy Stany Zjednoczone w zaledwie kilka dni po ujawnieniu faktu istnienia nagrań rozmów prezydenta. W następnych dniach w prasie pojawiły się relacje o tym, jak to dzielni chłopcy z FBI wytropili tajemniczego, silnie uzbrojonego faceta (byłego policjanta), który zamierzał dokonać zamachu na życie prezydenta. Zamiast, jak to się zwykle praktykuje w takich razach, śledzić jego każdy krok, aby ustalić ewentualne powiązania, „zdjęto" go robiąc przy tym wielką wrzawę i starając się nadać sprawie jak największy rozgłos. No cóż nowemu szefowi FBI Kelley'owi brakowało jednak formatu Hoovera, który podobny „show" przygotowałby z o wiele większą zręcznością, nie cofając się przy tym przed wyrafinowaną intrygą.

W międzyczasie wybuchła afera numer dwa. Ta była bez wątpienia nie zaprogramowana i mocno zbulwersowała opinię publiczną. Dotyczyła bowiem osoby wiceprezydenta Spiro T. Agnew, a ściślej przestępstw, których rzekomo się kiedyś dopuścił. 1 sierpnia 1973 roku wiceprezydent otrzymał pismo od George'a Bealla, prokuratora federalnego z Baltimore, z wiadomością iż przeciwko jego osobie wszczęto dochodzenie w sprawie zarzutów o przekupstwo, oszustwa podatkowe i szantaż. Oskarżano go, iż w latach 1962—1966, gdy był funkcjonariuszem władz miejskich w Baltimore, otrzymywał pieniądze w zamian za faworyzowanie przedsiębiorców budowlanych. Dzięki temu jego dochody wzrastały tygodniowo o tysiąc dolarów — ma się rozumieć wolnych od podatku. Początkowo Agnew wszystkiego się wyparł, twierdząc, iż są to wierutne, bezczelne kłamstwa, istniało jednak wielu ludzi z kręgów lokalnego byznesu, którzy w każdej chwili mogli złożyć zeznania przeciw niemu.

Przed Nixonem stanął więc problem podjęcia decyzji w sprawie Agnew. Z jednej strony mógł wziąć w obronę swojego zastępcę, używając przy tym całego swego autorytetu, z drugiej zaś wobec niepewnych rezultatów takiego działania mógł zdecydowanie pogorszyć własną i tak już skomplikowaną sytuację. Z tej alternatywy wybrał więc drugie wyjście, uważał bowiem, że poświęcając Agnew udowodni zarazem, iż nie ma nic wspólnego z aferą Watergate.

Wobec takiego obrotu sprawy Spiro T. Agnew po miesiącach energicznej obrony na forum publicznym podaje się do dymisji ze stanowiska wiceprezydenta USA i przyznaje się do jednego ze skierowanych przeciwko niemu zarzutów, a mianowicie do uchylania się od zapłacenia podatku dochodowego. Uczynił to w ramach porozumienia osiągniętego z Ministerstwem Sprawiedliwości, by uniknąć długotrwałej batalii sądowej.

10 października 1973 roku przed sądem federalnym w Baltimore (Maryland) zapadł wyrok: były wiceprezydent Stanów Zjednoczonych Spiro T. Agnew został skazany na 10 tysięcy dolarów grzywny i ewentualną karę więzienia z zawieszeniem na trzy lata. Choć Agnew nie przyznał się do żadnych innych nielegalnych czynów, to jednak minister sprawiedliwości Elliot Richardson ogłosił publicznie podsumowanie materiałów dowodowych, mających wykazać, że można było wytoczyć przeciwko niemu długą listę oskarżeń. W prawie 200-letniej historii USA przypadek taki miał miejsce po raz pierwszy, a był tylko jednym z epizodów owej fatalnej afery.

Manewr z Agnew przyniósł wprawdzie prezydentowi tak bardzo upragnioną chwilę wytchnienia, ale nie na długo. Sytuacja bowiem znowu się zaostrzyła i to tak dramatycznie, iż nie można było już mieć nadziei na polubowne załatwienie sprawy. Na razie tak jak poprzednio chodziło przede wszystkim o nagrania. Orzeczenie sądu apelacyjnego z 12 października utrzymało w mocy nakaz sędziego Sirici, by wydano mu taśmy Białego Domu. Nixon natomiast proponował dostarczenie streszczeń rozmów utrwalonych na taśmach, wywierając równocześnie presę na prokuratora Coxa by ten zaprzestał wysiłków zmierzających do uzyskania taśm na drodze sądowej. Wobec zdecydowanej odmowy tego ostatniego 20 października Nixon dymisjonuje prokuratora. Wywołuje to z kolei reakcję ze strony ministra sprawiedliwości Elliota Richardsona, który podaje się do dymisji. Jednocześnie zostaje zdjęty ze stanowiska wiceminister tegoż resortu (były szef FBI) William Ruckleshaus za odmowę wykonania rozkazu usunięcia Coxa. Sytuacja staje się coraz bardziej napięta. W Kongresie po raz pierwszy wzrasta poważny ruch na rzecz postawienia prezydenta w stan oskarżenia konstytucyjnego (impeachment). Nixon chcąc zatem nieco złagodzić niebezpieczne dlań nastroje społeczeństwa i parlamentu dokonuje zaskakującej zmiany stanowiska, wyrażając zgodę na zastosowanie się do nakazu sądowego wydania taśm sędziemu Sirice. Wyznaczony zostaje również na miejsce Coxa nowy prokurator specjalny w osobie Leona Jaworskiego, prawnika z Teksasu.

Jesienią dochodzi do jeszcze jednej próby odwrócenia uwagi od afery Watergate. 25 października 1973 roku w związku z niebezpiecznym rozwojem sytuacji w działaniach militarnych na Bliskim Wschodzie (czwarta wojna arabsko-izraelska) prezydent ogłasza alert trzeciego stopnia, stawiający w stan podwyższonej gotowości bojowej wojska amerykańskie w kraju i za granicą. Aby ratować stanowisko, Nixon nie cofa się więc nawet przed ewentualnością sprowokowania poważnego kryzysu międzynarodowego. Wszystko to jednak na niewiele się zdaje. Przeznaczenie zbliża się coraz zybszymi krokami. Prowadzona przez Nixona kampania zmierzająca do odzyskania popularności, znana w Białym Domu pod nazwą „Operacja Szczerość" ponosi dotkliwą porażkę, gdy jego przedstawiciel informuje sędziego Sirice, iż na jednej z taśm, które miały być dostarczone, niesłyszalny jest kluczowy 18-minutowy fragment. Fakt ten jest tłumaczony następnie omyłkowym skasowaniem taśmy przez sekretarkę Nixona Rosemary Woods, sędzia nie daje jednak temu wiary, tym bardziej iż także eksperci wykluczają podobną możliwość. Jednocześnie senacka komisja do spraw Watergate wystosowuje nakazy prawne domagające się od Białego Domu dostarczenia blisko 100 taśm oraz dokumentów prezydenckich. Początek kwietnia 1974 roku przynosi z kolei wiadomość, iż Nixon zalega z podatkami w wysokości 476.431 dolarów. Prezydent zgadza się natychmiast zapłacić niemal całą tę kwotę, która stanowi blisko połowę całego jego majątku.

Tymczasem wzrastają naciski na prezydenta, aby wyraził wreszcie zgodę na wydanie taśm z nagraniami. Opór Nixona wywołuje potęgującą się reakcję nieufności wobec jego osoby, skoro bowiem nie chce wydać taśm, musi mieć coś do ukrycia. W Kongresie coraz głośniej zaczyna się mówić o postawieniu prezydenta w stan oskarżenia, a rozstrzygnięciem tego problemu ma się zająć komisja prawna Izby Reprezentantów. W międzyczasie sprawa wydania taśm z nagraniami rozmów Nixona trafia na wokandę Sądu Najwyższego, który 24 lipca nakazuje prezydentowi, aby dostarczył sędziemu Sirice 64 taśmy, jak tego domagał się droga nakazów prawnych specjalny prokurator Jaworski. Na jednej z owych taśm nagrana jest m. in. rozmowa Nixona z Haldemanem na temat włamania do Watergate, która odbyła się zaledwie w sześć dni po jego dokonaniu (Nixon przez cały czas twierdził, iż o włamaniu dowiedział się dopiero w marcu 1973 roku).

Również 24 lipca 1974 roku komisja prawna Izby Reprezentantów rozpoczyna swą historyczną, transmitowaną przez telewizję debatę nad tym czy ma zalecić postawienie Nixona w stan oskarżenia. Kryzys wkroczył zatem w decydującą fazę; los prezydenta wydaje się być już praktycznie przesądzony.

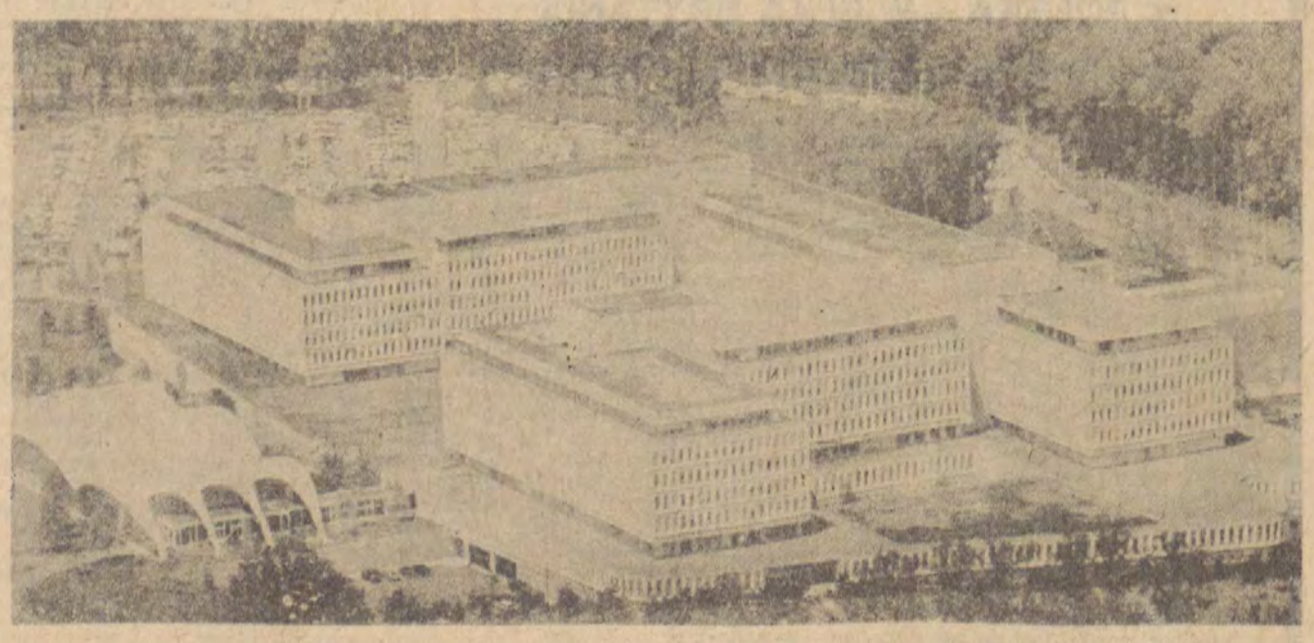

CIA — Kwatera Główna w Langley — Stan Wirginia

Fot. Archiwum

— Dokąd na wczasy? — pytają się nawzajem ludzie i jest to temat lata. Jest jeszcze drugie pytanie: — Przed urlopem czy już po? Tak się rozpoczynają wszystkie rozmowy w sezonie ogórkowym.

JERZY WILMAŃSKI

MAZURSKIE WĘDRÓWKI

A sezon właśnie na półmetku. W doniesieniach agencyjnych pojawił się słynny wąż z jeziora Loch Ness wymyślony przez dziennikarza nazwiskiem Gasparini jeszcze w roku 1933.

W Polsce też mamy obowiązkowy temat kanikuły i jest nim słynna Bursztynowa Komnata. Zaliczyła ten temat telewizja i „Przekrój" (przy pomocy jasnowidza Klimuszki).

Trudno o tym sobie nie przypomnieć kiedy się na urlop jedzie na Mazury a konkretnie w głębokie lasy nad jezioro Orzyc nieopodal Barczewa. W Barczewie bowiem — jak wieść gminna głosi — przebywa ktoś kto o Bursztynowej Komnacie wie z pewnością najwięcej. A z całą pewnością widział ją jako jeden z ostatnich. Ten stary człowiek ponoć żyje w Barczewie za murami dawnego zamku czy klasztoru — opowiada się o nim żądnym sensacji turystom przy piwku w barze „Pod małym żaglem" albo w restauracji „Jubileuszowej"...

Fot. Archiwum

Jest to jednak mało ciekawe i jeszcze mniej prawdopodobne, zostawmy więc byłego gauleitera i przejdźmy się uliczką od rynku do starej kamieniczki gdzie tablica:

„Tu 7 lutego 1877 roku urodził się Feliks Nowowiejski..."

Autor **„Legendy Bałtyku"**, wybitny kompozytor nie związał się z tym miastem na stałe. Spędził tu tylko dzieciństwo, potem oddano go do klasztornej szkoły w Świętej Lipce. Wrócił tu na krótko już jako wybitny artysta, aby w latach 1919—1920 koncertować w czasie przygotowań do plebiscytu na Warmii i Mazurach. A był już wtedy światowej sławy artystą.

Największy rozgłos uzyskał w końcu 1909 roku dzięki oratorium **„Quo Vadis"**. Utwór ten wykonywano wówczas w ponad 150 miastach Europy, Ameryki Północnej i Południowej.

Dziś o Nowowiejskim trochę jakby zapomniano. Czas jego wielkiej sławy i wielkich sukcesów przypadał właściwie na pierwsze lata XX wieku. Dość powiedzieć, że pierwszą międzynarodową nagrodę muzyczną uzyskał w 1898 roku, w Londynie, parę lat później w Rzymie (za oratorium „Powrót syna marnotrawnego"), potem w Bonn... Do roku 1909 był laureatem siedmiu nagród państwowych i miejskich — uhonorowano go wówczas prezesurą Towarzystwa Muzycznego w Krakowie. Potem powstała słynna „Legenda Bałtyku".

Drugą wojnę światową spędził w Krakowie — zaraz po wyzwoleniu wraca do Poznania, gdzie umiera w styczniu 1946 roku.

Maleńkie muzeum Feliksa Nowowiejskiego w starej kamieniczce w **Barczewie** nie jest zbyt licznie odwiedzane przez turystów. Jest to zresztą ekspozycja skromna, ale z pewnością bardzo interesująca. Przed paroma miesiącami zmarła żona kompozytora — być może więc część pamiątek po wybitnym artyście zostało zapisanych dla barczewskiego muzeum. Obejrzeć je w każdym razie warto.

Padła tu nazwa **Świętej Lipki** — wioski oddalonej o sześć kilometrów od Reszla. Tam właśnie — w miejscowym klasztorze pobierał nauki mały Nowowiejski. Dziś jest to miejsce pielgrzymek i wycieczek, choć staruszek — zakonnik nic o Nowowiejskim nie wspomina.

Tutaj króluje inna sztuka. Kościół w Świętej Lipce jest jednym z najpiękniejszych w Polsce zabytków barokowych o architekturze i malarstwie zatykającym dech w piersiach.

Bo proszę sobie wyobrazić. Maleńka wioszczyna wśród lasów, gdzieś na uboczu głównych szlaków turystycznych i naraz wyrasta przed nami to cudo barokowej architektury. Kościół otoczony krużgankami pełnymi fresków, porywająca wizja malarza zapełniła wnętrze feerią scen, portretów, ornamentów... I jeszcze przepiękne organy, starsze od oliwskich — na których figurki świętych i aniołów wykonują istny balet pełen gracji i rytmu.

Maciej Mayer tworzył przepiękną polichromię kościoła w Świętej Lipce kilkanaście lat. Między świętymi i mecenasami, którzy mu za tę pracę płacili poumieszczał także swoje podobizny. Jawi się na nich jako smagły młodzieniec. To tyle co o nim wiadomo Nie ma jego nazwiska w encyklopediach i słownikach — nie napisano o nim żadnej rozprawy, choć dzieło jakie stworzył na pewno na to zasługuje.

Mnie uderzyło jedno. Otóż jest w Pradze kościół barokowy na Małej Stranie, którego polichromia przypomina do złudzenia mayerowską wizję ze Świętej Lipki. Otóż w obu tych kościołach stworzono złudzenie wysokości malując strop świątyni niejako „wzwyż" — domalowując nie istniejące balkony, przedłużając w niebo kolumny wspierające łuki sklepienia...

Kościół w Świętej Lipce ma 13 metrów wysokości — kiedy spojrzymy na jego strop wydaje się, że jest o wiele, wiele wyższy... Podobnie kościół Świętego Mikołaja na Małej Stranie. Zbieżność rozwiązań artystycznych uderzająca, czas powstania identyczny — tylko tu Maciej Mayer (sądząc z imienia Polak) a tam słynny Krzysztof Dienzenhofer. I jeszcze jedno. Mazurski artysta zakończył swoją iluzyjną polichromię wcześniej od praskiego mistrza. Kiedy zdejmowano rusztowania w Świętej Lipce w roku 1737 — a miejscowi chłopi szeptali z zachwytem: „wunder kunst" — Dienzenhofer miał przed sobą jeszcze całe piętnaście lat pracy na Małej Stranie.

Ze Świętej Lipki — jak się rzekło — tylko sześć kilometrów do **Starego Reszla.** I to miasto ciekawe i chwały pełne leży nieco na uboczu uczęszczanych tras turystycznych.

Przed wiekami było to jedno z większych i zamożniejszych miast Warmii. Założyli Reszel mieszczanie braniewscy w roku 1377 na miejscu dawnej osady. Nie zrazili się przy tym nieprzenikliwym gruntem ani brakiem studni na terenie miejskim. Tym okolicznościom zresztą Reszel zawdzięcza jedną z najstarszych inwestycji komunalnych. Wodę sprowadzano bowiem z odległych jezior za pomocą specjalnego kanału i drewnianego rurociągu.

Największą jednakże osobliwością Reszla jest stare zamczysko, którego historia sięga połowy XIII wieku. Najpierw stał tu krzyżacki gród drewniany, a potem kiedy Reszel przeszedł pod panowanie biskupów warmińskich rozpoczęto budowę obecnego zamku, którą zakończono około roku 1400. Wiele razy opierał się zamek najazdom krzyżackim i szwedzkim — gościł też wybitne osobistości. Bywali tu, wuj Kopernika Łukasz Waczenrode, głośny historyk Marcin Kromer, Michał Radziejowski, kardynał Andrzej Batory, bratanek króla Stefana Batorego...

Nic więc dziwnego, że nocleg w reszelskim zamku wielu turystów zalicza do szczególnych atrakcji. W takim towarzystwie! Obecnie zamek znajduje się pod zarządem i opieką Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego **„Pojezierze"**.

Z Reszla już tylko jeden krok do **Kętrzyna** a właściwie w kętrzyńskie lasy do miejscowości **Gierłoża.** W roku 1958 po raz pierwszy weszli do tych lasów turyści. Przedtem działali tu wyłącznie saperzy, rozminowując ogromny teren dawnej „Wilczej Jamy" — kwatery Hitlera.

Z dawnego zespołu gigantycznych bunkrów dziś pozostało właściwie rumowisko. Z pamiętników hitlerowskich generałów można wnioskować, że niektóre bunkry miały aż cztery podziemne kondygnacje. Może tak było — może nie. Dziś stwierdzić tego nie sposób. Hitlerowcy wysadzili w powietrze wszystko co przedtem zbudowali w prostokącie lasu.

Ale to co pozostało daje obraz skali „inwestycji", przy budowie której zginęły tysiące ludzi. Dość powiedzieć, że ściany głównych bunkrów (a jest ich około stu) mają... sześć metrów grubości, a sklepienia dochodziły do ośmiu metrów. Dynamit zniszczył część naziemną, ale gigantyczne masy żelbetonu bronią dziś wstępu do podziemi. I tak już zostanie na wieki. Przebicie się przez parometrowe ściany i kilkunastometrowe zwałowiska żelbetonu nie jest dziś możliwe.

Kto wie, może za tysiąc lat przyszłe pokolenia głowić się będą nad zagadką katakumb w bagnistym lesie między trzema jeziorami. Może będzie to dla potomnych tajemnica podobna rzeźbom na Wyspie Wielkanocnej lub tarasom Baalbecku.

Bo przecież wtopiono w tę ziemię tysiące ton betonu w początkach lat czterdziestych, kiedy świat nie znał ani broni atomowej ani bomb wodorowych. Po co? — będą się jeszcze za tysiąc lat pytali ludzie.

Dla nas, po trzydziestu paru latach, bezsens i zbrodniczość idei tej Wilczej Jamy jest oczywisty. Czy dla wszystkich?

Bardzo dużo turystów przyjeżdża tu samochodami o rejestracji mówiącej wszystko. Chodzą po lesie w skupieniu, fotografują nowoczesnymi aparatami na japońskiej licencji, wielu z nich rozumie po polsku, chętnie przyłączają się do wycieczek — uważnie słuchają przewodnika...

Stary przewodnik, który od kilkunastu już lat oprowadza turystów po lesie Gierłoży mówi specjalnie głośno, jakby wyraźnie adresował te słowa:

— To dobrze, że są tu turyści z zagranicy, ale myślę, że byłoby dobrze, aby przynajmniej niektórzy z nich obowiązkowo zwiedzili również Oświęcim. Te dwa miejsca wyznaczają potęgę i Zbrodnię Rzeszy...

I po chwili dodaje:

— A niektórych wpuszczałbym tutaj dopiero po okazaniu zaświadczenia, że zwiedzili KL Auschwitz".

Rocznie dawną kwaterę Hitlera zwiedza ćwierć miliona ludzi. Przy wjeździe kiosk z pamiątkami. Za szybą plastykowe kaczuszki, portfeliki z rozebranymi paniami i kufle z ceramiki.

W mazurskich wędrówkach dotrzeć jeszcze można dalej i właściwie większość turystów korzysta z owych tras standartowych. **Barczewo, Reszel, Święta Lipka** a nawet **Kętrzyn** leżą trochę na uboczu. Największa fala turystów uderza na **Mikołajki** i **Giżycko.** Pojedźmy i my tą trasą.

A więc stateczkiem **„Tałty"** — trochę jak z Rimbauda — „Statkiem pijanym". Przez **jezioro Tałty, Kanał Tałcki, jezioro Tałtowskie, Kanał Grunwaldzki, jezioro Kotek Wielki, Kanał Mioduński, jeziora Szymon, Jagodne, Boczne i Niegocin** aż do **Giżycka.**

Bagatela — ponad trzy godziny drogi. Gdy wieje wiatr nad jeziorami wycieczki schodzą pod pokład, gdzie bufet oferuje herbatniki i alkohole w różnych gatunkach i po wysokich cenach. Po trzech godzinach **Giżycko** wydaje się najpiękniejszym miastem na świecie.

Ale najpiękniejszym miejscem na odpoczynek jest dawny myśliwski dworek — dziś ośrodek FWP. **„Zalesie"** nad jeziorem **Orzyc.** Także z dala od uczęszczanych szlaków, gdzie spacerujący lasem człowiek niemal depcze zającom po ogonach, a ryby biorą jak najgłupsze okonie.

HUMOR ZAGRANICZNY

MAGAZYN ODGŁOSY

IZAAK BABEL

SASZKA CHRYSTUS

Saszka — to było jego imię, a Chrystusem przezwali go za łagodność. Był wspólnym pastuchem w stanicy i nie wykonywał ciężkiej roboty od czternastego roku życia, to jest do czasu jak go zła niemoc zdjęła. A było to tak:

Tarakanycz, Saszki ojczym, poszedł na zimę do miasta Groznyj i tam przyłączył się do spółdzielni. Spółdzielnia była udana, z chłopów riazańskich. Tarakanycz robił dla nich ciesiołkę i dostatek u niego wzrastał. Nie mógł sam już wszystkiemu podołać i dlatego wypisał sobie na pomocnika chłopaka: zimą stanica i bez Saszki się obejdzie. Saszka przepracował przy ojczymie tydzień. Potem nadeszła sobota, więc zrobili sobie fajrant i siedli pić herbatę. Choć na dworze październik, ale powietrze stało lekkie. Otworzyli okno i zagrzali drugi samowar. Pod oknami wałęsała się żabraczka. Stuknęła w ramę i powiedziała:

— Witajcie, inoziemni chłopi. Zwróćcie uwagę na mój stan.

— Jaki tam stan? — rzekł Tarakanycz. — Zachodź, biednoto.

Żebraczka poguzdrała się za ścianą i potem wskoczyła do pokoju. Podeszła do stołu i pokłoniła się w pas. Tarakanycz złapał ją za chustę, odrzucił szmatę i pogrzebał we włosach. Miała żebraczka włosy szare, siwe, całe w kosmykach i w kurzu.

— Uch ty, jaki chłop z ciebie zadziorny i dorodny — powiedziała — zupełna komedia z tobą... Bardzo proszę, nie odpychajcie mnie starej — wyszeptała pośpiesznie i wgramoliła się na ławę.

Tarakanycz polazł do niej. Żebraczka odrzuciła głowę na bok i śmiała się.

— Deszczyk na starą babę — mówiła ze śmiechem — ze dwieście pudów z dziesięciny będzie...

Powiedziawszy to zobaczyła Saszkę, który pił herbatę przy stole i nie podnosił oczu na świat Boży.

— Chłopiec twój? — spytała Tarakanycza.

— A tak jakby mój — odparł Tarakanycz — żonin.

— Dziecina gały wytrzeszcza — powiedziała baba. — No, chodź tu.

Saszka podszedł do niej — i złapał brzydką chorbę. Ale o brzydkiej chorobie wtedy nikt nie myślał. Tarakanycz dał żebraczce kości z obiadu i srebrnego piataka, błyszczącego.

— Natrzyj go patnico piaskiem — poradził Tarakanycz — a będzie jeszcze bardziej okazały. W noc ciemną Panu Bogu go użyczysz, piątak zamiast księżyca zaświeci...

Biedulina zawiązała chustkę, wzięła kości i poszła sobie. A po dwóch tygodniach chłopom wszystko było jasne. Dużo wycierpieli od tej złej niemocy, męczyli się całą zimę i leczyli trawami. A wiosną pojechali do stanicy, do swojej chłopskiej roboty.

Stanica była o dziewięć wiorst od żelaznej drogi. Tarakanycz i Saszka szli polami. Ziemia leżała w kwietniowej wilgoci. W czarnych jamach błyszczały szmaragdy. Zielone porosty wyszywały ziemię zmyślnym ściegiem. I od ziemi kwaśno pachniało, jak od żołnierki na świtaniu. Pierwsze stada spływały z kurhanów, źrebięta swawoliły w błękitnych przestrzeniach horyzontu.

Tarakanycz i Saszka szli ledwie widocznymi ścieżynami.

— Wypuść mnie, Tarakanycz, na pastucha gromadzkiego — przemówił Saszka.

— A czemuż to?

— Aż nie wiem co, tak mi się to dobre życie pastusze podoba.

— Nie zgadzam się — rzekł Tarakanycz.

— Puść, na Boga, Tarakanycz — powtórzył Saszka — wszyscy święci pochodzili z pasterzy.

— Święty Saszka— zachichotał ojczym — u Matki Boskiej syfa złapał.

Przeszli obniżenie przy Czerwonym Moście, minęli zagajnik, wygon i zobaczyli krzyż na stanicznej cerkwi.

Baby grzebały jeszcze w ogrodach, a kozacy rozwaleni pośród bzów pili wódkę i śpiewali. Do Tarakanyczowej izby było z pół wiorsty piechota.

— Daj Boże, żeby szczęśliwie — powiedział i przeżegnał się.

Podeszli do chałupy i zajrzeli przez okno. Nikogo nie było. Saszki matka doiła krowę w stajni. Chłopi podkradli się cichcem. Tarakanycz zarechotał i wykrzyknął u baby za plecami:

— Motia, jaśnie wielmożna, no, gotuj gościom wieczerzę...

Baba odwróciła się, zadrżała, wybiegła ze stajni i zatoczyła się po podwórzu. Potem wróciła na swoje miejsce, rzuciła się Tarakanyczowi na piersi i ucichła.

— Ot jakaś ty durna i niezguła — powiedział Tarakanycz i odsunął ją delikatnie. — Gdzie dzieci...

— Poszły ze dwora — rzekła baba, cała biała, znów zakrążyła po podwórzu i padła na ziemię. — Ach Aloszeńka — krzyknęła dziko — poszły nasze dzieci nóżkami do przodu...

Tarakanycz machnął ręką i ruszył do sąsiadów. Powiedzieli [illegible] chłopcem i dziewczynką Pan Bóg się zaopiekował, na zeszłej niedzieli w czasie tyfusu. Motia pisała mu, ale chyba nie zdążył dostać listu. Tarakanycz wrócił do chaty. Jego baba rozpalała w piecu.

— Wyszykowałaś się, Motia, na czysto — rzekł Tarakanycz — pasy z ciebie drzeć.

Saszka cieszył się ze swego snu na jawie i zamykał oczy, żeby nie widzieć chomąt pod matki łóżkiem. Potem usłyszał sapanie na Motinej leżance i pomyślał, że Tarakanycz ugniata matkę.

— Tarakanycz — powiedział głośno — mam do ciebie sprawę.

— Co za sprawy w nocy — ze złością odezwał się Tarakanycz. — Śpij ścierwo...

— Klnę się na Boga, że mam sprawę — odparł Saszka — wyjdź na dwór.

I na podwórzu pod niegasnącą gwiazdą Saszka powiedział ojczymowi:

— Nie krzywdź matki, Tarakanycz, jesteś nieczysty.

— A ty znasz mój chrakter? — spytał Tarakanycz.

— Twój charakter znam, ale czy widziałeś, jakie matka ma ciało? I nogi ma czyste i piersi. Nie krzywdź jej, Tarakanycz. Obaj jesteśmy nieczyści.

— Dobre sobie — odparł ojczym — odejdź, bo wyjdę z nerw. Na masz tu dwudziestaka, prześpij się, wytrzeźwiej...

— Nie potrzebuję tych dwudziestu kopiejek. W pastuchy mnie odpuść...

— Dobra — powiedział Tarakanycz.

— Puść mnie w pastuchy — wymruczał Saszka — bo inaczej wszystko matce opowiem, jacy to jesteśmy. A za co ona ma cierpieć z takim ciałem...

Tarakanycz odwrócił się, poszedł do komórki i przyniósł siekierę.

— Świętoszku — wyszeptał — ze mną nie tak... Zarabię cię, Saszka...

— Nie będziesz mnie rąbał za babę — powiedział chłopiec ledwie dosłyszalnie i pochylił się w stronę ojczyma — ty mnie żałujesz, odpuść w pastuchy...

— Pal cię licho — powiedział Tarakanycz i odrzucił siekierę. — Idź w pastuchy.

Wrócił do chaty i przespał się z żoną.

Tego samego ranka poszedł Saszka do kozaków wynająć się i od tej pory zaczął żyć w społeczności pastuszej. Wsławił się na cały powiat swoją prostodusznością, otrzymał od mieszkańców stanic przezwisko „Saszka Chrystus" i przeżył jako pastuch bez przerwy aż do powołania do wojska. Starzy chłopi, ci bardziej zepsuci, przychodzili do Saszki na wygon pogadać, baby biegały do niego aby dojść do siebie po szaleńczych mużyckich obyczajach i nie gniewały się na Saszkę za jego miłość i za jego chorobę. Z powołaniem swoim do armii trafił Saszka na pierwszy rok wojny. Był na wojnie cztery lata i wrócił do stanicy, kiedy tam grasowali biali. Namówili Saszkę, aby szedł do stanicy Płatowskiej, gdzie powstawał oddział przeciwko białym. Wachmistrz rezerwy — Siemion Michajłowicz Budionny — rządził tym oddziałem i było w nim trzech braci: Jemielian, Łukian i Denis. Saszka poszedł do Płatowskiej i tam zadecydował się jego los. Był on w pułku Budionnego, w jego brygadzie, w dywizji i w Pierwszej Konnej Armii. Śpieszył na odsiecz bohaterskiego Carycyna, połączył się z Dziesiątą Armią Woroszyłowa, walczył pod Woroneżem, Kostromą i przy Moście Generalskim na Donie. Pod koniec kampanii był obożnym, bo został ranny i uznano go inwalidą.

Oto jak wszystko było. Od niedawna zawiązałem znajomość z Saszką Chrystusem i przeniosłem swój kuferek na jego wóz. Nie raz spotykaliśmy gwiazdę zaranną i towarzyszyliśmy zachodowi. A kiedy losy walki łączyły nas — siadywaliśmy gdzieś pod zachód na przyzbie, albo gotowaliśmy w lasach herbatę w zakopconej menażce lub spaliśmy obok siebie na skoszonych polach uwiązawszy do nogi wygłodzonego konia.

TŁUMACZYŁ:
ROMAN GORZELSKI

WENUS–75

Fot. Ott Gangl

BOKS

RYSOWAŁ:
ADAM KUCZYŃSKI

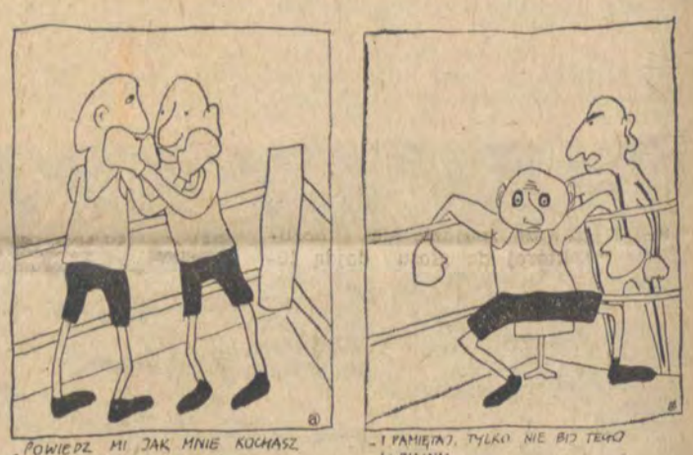

OPOWIEŚCI NIEPRAWDZIWE

RYSOWAŁ:
JACEK
BROMSKI

WŁODZIMIERZ MITIN

TOPIELEC

Kiedy nastało lato — okazało się, że mam potężny brzuch dlatego postanowiłem udać się do mojego przyjaciela, profesora medycyny, by zasięgnąć u niego porady.

— Ta-a-a-k — mruknął, krytycznie spoglądając na moją figurę. — Zapisałbym ci dietę, ale ty za bardzo lubisz szaszłyk i schaboszczaka. Masz za słabą wolę.

Chłodno się z nim pożegnałem. Napotkany na ulicy znajomy poklepał mnie żartobliwie po zaokrąglonej wystającej części mego ciała i spytał:

— Rośniesz jeszcze?

— Przestań! — odburknąłem ze złością. — Człowiek ginie, a ty jeszcze się z tego śmiejesz. Lepiej byś coś poradził...

— Mam! — wykrzyknął znajomy. — Wymyśliłem to specjalnie dla ciebie. Basen!

Następnego dnia skierowałem się w stronę ogrodzonego wodnego zbiornika. Nad oknem kierownika wisiał napis stanowiący część utworu znanego klasyka:

Niechaj wam zastąpi basen
Wódkę, wino, króla z asem!
Namiętności gier i picia
Przyśpieszą wasz proces gnicia!

— Zaświadczenie od lekarza jest? — z przyzwyczajenia spytała panienka z okienka w okularach.

Poszedłem po zaświadczenie.

— Na basen jest panu potrzebne, powiada pan? — trochę z ponurą intonacją w głosie powiedziała ambulatoryjna rejestratorka. — Też coś! Kąpać panu się zachciało! No cóż, chodźmy zrobimy badania, a potem wydamy zaświadczenie...

Przysięgam, że niepotrzebnie ciągnięto Chrystusa na Golgotę i przybijano go do krzyża deficytowymi w tym czasie gwoździami. Lepiej by mu przeprowadzono przygotowane dla mnie badania...

Pokonawszy kilometrową kolejkę do neurologa, przez kilka dni próbowałem dostać się do chirurga. Okulista wypchnął mnie do urologa a ten pozbył się mnie wysyłając do laryngologa. Minął miesiąc w kolejkach nim nadszedł czas mojej wizyty u rentgenologa, jeszcze dwa tygodnie straciłem na czekanie do „wewnętrznego". Neuropatolog uporczywie dopytywał się, czy nie było w mojej rodzinie przypadków manii wielkości i czy nie chodzę na spacery boso przy księżycu.

Kiedy już myślałem, że wszystko jest w porządku — zmuszono mnie bym zrobił sobie elektrokardiogram. Wówczas zaprotestowałem, a rejestratorka powiedziała, że ja nie jestem astenikiem, jak to zapisano w mojej karcie chorobowej, lecz typem zwykłym, który wścieka się z nadmiaru tłuszczu.

Oczywiście, w tym miejscu ta kobieta wyraźnie przesadzała. W końcowym momencie moich zmagań z rejonowymi eskulapami pozostała ze mnie jedynie przysłowiowa skóra i kości.

Wreszcie otrzymałem zaświadczenie.

— Tak — rzekła cichutko panienka w okularach. — A co z dermatologiem?

— Z jakim dermatologiem?

— Cóż to? — oburzyła się. — Ma pan zamiar pływać w ubraniu?

Po przymusowym przeglądzie lekarz podstemplował zaświadczenie.

Znalazłem w domu fotografię i przykleiłem ją na tę cenną dla mnie przepustkę.

— Nie wpuszczę — po obejrzeniu jej powiedziała stanowczo starsza dama stojąca przy wejściu: — Przecież to nie pan jest na zdjęciu. Komu pan zabrał tę przepustkę na basen? Różnica między wami jest za duża bym się nie połapała: ten na fotografii jest młody i przystojny a pan — siwy staruch!...

— Ależ to on — z obrzydzeniem powiedziała panienka z okienka w okularach.

Wtedy mnie wpuszczono za ogrodzenie.

Skończyłem do wody i... utonąłem. Ale nie na śmierć, jak widzicie. Dyżurujący sanitariusz tak oto napisał w protokole: „Nie utonął wskutek nadmiernego wyczerpania organizmu".

Tłumaczył:
R. GORZELSKI

Fot. Jolanta Janiak

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt 90-950 i 90-102 telefony 652 44 217-98 oraz 293 00 wew 29 39, 40 i 41 Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Zam. 1496. U-12. Nr indeksu 37006/36762.